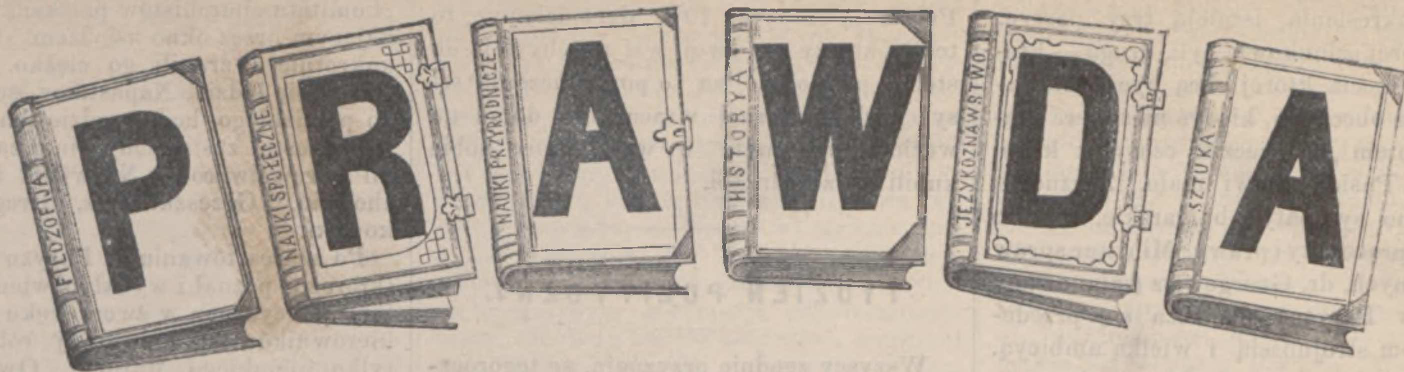
Nr. 16. Warszawa, dnia 16 (4) Kwietnia 1892 r. Rok XII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SKUPCZYNA SERBSKA.

Gdyby korespondenci zagraniczni więcej zaznajamiali nas z osobistym składem parlamentów europejskich, niż z przebiegiem ich obrad, może byśmy łatwiej zrozumieli niejedną walkę, niejedną uchwałę, niejedną awanturę. W sprawozdaniach politycznych powtarza się ciągle: Richter, Plener, Clemenceau, jak znaki X, Y, Z w algiebrze, ale kto są ci ludzie, ci przewódcy lub członkowie stronnictw — nie wiemy. Nie wiemy o głośnych, znakomitych, ciągle stojących na szerokiej widowni; cóż dopiero mówić o bohaterach jakiegoś państwa bałkańskiego! A jednakże te drobne kraje i ludy coraz większą zyskują wagę na szalach polityki europejskiej, a przytem obrazy ich życia publicznego, widoki stron wewnętrznych i postacie pierwszego planu są tak odmienne, tak wychodzące z ram wszelkiego szablonu, że warto im się przypatrzyć.

Od niejakiego czasu coraz mocniej i coraz częściej zaprząta uwagę powszechną parlament serbski, t. zw. skupczyna. Pewne osobistości, a raczej pewne nazwiska przypominają się ustawicznie, ale ani wybitne jednostki, ani całość nie rysują się wyraźnie. Pamiętamy, że tam rej wodzą Pasicze, Giuricze, Garaszaniny itd., nie mamy wszakże o nich dokładnego wyobrażenia. Właśnie korzystając z sylwetki, nakreślonej przez P. Weitza, długoletniego korespondenta wielu pism serbskich, przedstawimy czytelnikom naszym ciekawą galeryę wizerunków skupczyny serbskiej.

Już sam widok miejsca jej obrad różni się od wspaniałych gmachów ciał prawodawczych Europy. Jest to skromny budynek z tak nizkiemi drzwiami, że roślejsi posłowie muszą przy wejściu pochylać głowy. W sali posiedzeń uderza prostota, niemal ubóstwo; jedyną jej ozdobą jest czerwony tron. Daremnie śród deputatów szukalibyśmy fraka lub munduru. Należąc przeważnie do stanu włościańskiego, przybywają oni w odzieży codziennej — w szerokich spodniach i bluzach, ściągniętych kolorowym pasem. Dawniej za tymi pasami widniały kosztowne zbroje, obecnie ustawa nie pozwala wchodzić do parlamentu z jakąkolwiek bronią, a temu przepisowi muszą się poddawać nawet dwaj generałowie, należący do regencyi — Proticz i Belimarkowicz. Ubranie *à la franca* pojawia się teraz rzadko — częściej zaś, gdy u steru rządów stoi ministeryum liberalne lub postępowe. Żywioły te stanowią obecnie drobną mniejszość (19 członków) wobec większości (110) radykalnej. Naturalnie w społeczeństwie nawskroś chłopskiem nie ma szlachty — więc w skupczynie nie ma konserwatystów. Brak tu również klerykałów. Chociaż bowiem duchowieństwo posiada w niej liczny zastęp, miesza się jednak z rozmaitemi grupami. Zauważyć tylko można podczas rządów liberalno-postępowych więcej kleru wyższego, podczas radykalnych zaś przeważa niższy.

Ton rozpraw parlamentarnych z natury składu Izby nie może być sztywny. Jeżeli np. podczas otwarcia sesyi wejdzie król lub regenci, posłowie wołają: „Boże wam dopomóż,“ na co pozdrowieni odpowiadają również: „Boże ci dopomóż.“ Zwracając się do kogoś, nie używają żadnych tytułów, lecz mówią „ty“ lub co najwyżej „pan“ z dodatkiem imienia, nie nazwiska — np. „pan Mikołaj“ (Pasicz).

Talentów oratorskich jest w skupczynie dosyć, może nawet za wiele. Do najznakomitszych należy Ranko Taificz. Skoro tylko powstanie ze swego siedzenia ta krępa i okrągła postać, wszyscy spieszą na swoje miejsca, a w sali zapanowywa cisza. Jest to wierny przedstawiciel chłopstwa serbskiego, które pragnie nie płacić podatków, wywalczyć gminie zupełny samorząd, a od czasu do czasu strącać ministrów. Deputowanym w stylu europejskim jest Milutin Garaszanin, niegdyś minister a teraz zajadły wróg Milana, niewątpliwie najwybitniejsza postać w skupczynie. Chociaż całą jego partyę (postępową) stanowi jeden towarzysz, radykałowie boją się jego dowcipu, gryzącej ironii i zręcznej dyalektyki. Jako charakter ma być nieposzlakowany. Gdy dużą swą ręką rozdziela na wszystkie strony uściski, nikt by nie przypuszczał, że między tym barczystym, namiętnym olbrzymem a jego sąsiadami istnieje straszna nienawiść. Niedaleko niego zajmuje krzesło ksiądz Milan Giuricz, prezes klubu radykalnego, niezmordowany bojownik parlamentarny. Zarówno jak Taificz, jest on poplecznikiem dynastyi Karageorgewiczów i tylko ze względów praktycznych osłania te swoje sympatye milczeniem. W rewolucyi zajczarskiej (1883) należał on do jej przywódców; ale podczas gdy inni przepłacili swój w niej udział życiem, on, z obecnym prezesem gabinetu, Pasiczem, zdołał uciec za granicę i z Cetynii przypatrywał się wykonaniu wyroku śmierci na sobie *in effigie*. Dopiero po abdykacyi Milana powrócił do kraju, z którego — dziwną koleją losu — ten na zawsze został usunięty.

Liberałom przewodniczy dr. Awakumowicz — bardzo wprawny mówca.

Na ławie ministeryalnej, wybitej grubym żółtym papierem, zasiadają ludzie

często zmieniani, gdyż według popularnego w Serbii określenia, istnieją trzy partye: jedna, której członkowie byli, druga — której są, a trzecia, której chcą być ministrami. Prezes obecnych, kiedyś na śmierć skazany, a potem „na wieczne czasy“ z kraju wygnany, Pasicz, mówi mało. Zarzucają mu utajone sympatye bułgarskie. Jest to człowiek pracowity i prawy. Minister spraw zagranicznych, dr. Georgewicz (mianowany posłem w Paryżu) odznacza się przedewszystkiem strojnością i wielką ambicyą. Najtęższym umysłem w gabinecie jest minister policyi Giaja. Dalmatczyk z pochodzenia, wyświęcony na księdza katolickiego, zmienił religię, przesiedlił się do Serbii i długą drogą rozmaitych przejść (która nawet przebiegała przez więzienie) wybił się na teraźniejsze stanowisko. Inni członkowie rządu nie odznaczają się niczem szczególnem.

Nie brak skupczynie serbskiej figur komicznych. Najzabawniejszą między niemi jest dr. Dragisz Stanojewicz z przydomkiem „pożeracz ministrów.“ Wydaje ciągle i rozrzuca podburzające odezwy, które odpokutowywa w kozie. Słynny jest jego wniosek, aby ministrowie przed objęciem urzędu składali po 20,000 fr. kaucyi, z której by im strącano grzywny za rozmaite przewinienia. W żądaniu tem tkwiło coś więcej oprócz humoru.

Pomimo rubaszności posłów, obrady w skupczynie serbskiej toczą się z dziwną, prawdziwie turecką flegmą. Prezydent nigdy nie przywołuje mówcy do porządku chociaż ten nazywa przeciwników „złodziejami,“ „oszustami“ itp., nigdy mu nie przerywa, chociaż np. jeden z nich przez dwie godziny opowiadał historyę rewolucyi francuskiej, niemającej naturalnie z przedmiotem rozpraw żadnego związku.

Rozumie się ta sama prostota panuje w pokojach przyległych, gdzie posłowie krzepią swe siły — kawą lub śliwowicą. Pobierają oni tylko 10 fr. dyet dziennie; to też niektórzy ze swej wsi przybywają do stolicy pieszo, ale za to po skończeniu sesyi parlamentarnej wracają do domu na wozie zaprzężonym w woły, które sobie kupili z oszczędności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wszyscy zgodnie przyznają, że tegoroczny obchód urodzin (77) ks. Bismarka w Friedrichsruh wypadł świetniej i z daleko większym udziałem narodu, niż lat poprzednich. Przybyło około 5000 telegramów, 500 listów rekomendowanych, 200 posyłek. Korowód (fakelzug) liczył przeszło 10,000 osób. Z tych spotęgowanych dowodów uwielbienia dla usuniętego bohatera można wyciągnąć tylko jeden wniosek, mianowicie, że „nowy kurs“ w roku ubiegłym wywołał dużo niechęci i tęsknoty do starego kanclerza. Nie brak przytem innych objawów, potwierdzających to przypuszczenie. Śród konserwatystów niemieckich, tj. głównych podpór tronu, nastąpił rozłam: jedni chcą być bezwzględnie posłuszni rządowi a nawet probują podobno pojednać cesarza z Bismarkiem, drudzy z wyrazami wierności na ustach zamierzają podsycać w swych sercach bunt. Ci ostatni, zwani inaczej stronnictwem *Gazety krzyżowej*, rozjątrzeni głównie upadkiem projektu szkolnego, pragną połączyć się z ultramontanami (centrum).

Wilhelm II, który po swej mowie na uroczystości sejmu brandeburskiego, stał się przedmiotem ostrych zarzutów, widocznie postanowił zerwać z dawną tradycyą kar za „obrazy majestatu“ i wogóle unikać środków surowych. Nietylko rozkazał prokuratorom wstrzymać procesy wytoczone gazetom, ale mocą łaski darował winę Limburg-Stirumowi, który za artykuł przeciw traktatom handlowym, jako urzędnik, skazany został na wydalenie ze służby.

W Niemczech również dali znak życia „anarchiści.“ W Kościelcu, do mieszkania ks. Ponińskiego wdarło się rano kilku mężczyzn, żądając pieniędzy w imieniu „komitetu anarchistów polskich.“ Za uciekającym przez okno księdzem strzelili kilkakrotnie i zranili go ciężko. Na krzyk zbiegli się ludzie. Napastnicy schronili się do poblizkiego lasku, gdzie ich otoczono: jeden został zastrzelony, inni zabili się sami z rewolwerów. Nazwiska ich: Wilachowski, Grzeszkiewicz, Dreger i Żukowski.

Po zaaresztowaniu w Paryżu Ravachola (którego poznał i wydał pewien restaurator) policya ma w swem ręku głównych kierowników dynamitowej roboty, brak tylko niejakiego Mathieu. Ów Ravachol przyznał się do wielu zbrodni, dokonanych dawniej w celu rabunku. Nadto w jego mieszkaniu znaleziono przyrządy do fałszowania pieniędzy. Ten więc „zbawiciel ludzkości“ próbował różnych rodzajów występku.

Morderca przedstawiciela Bułgaryi w Konstantynopolu, Wulkowicza, został odkryty i aresztowany: jest nim albańczyk Merdżjan, który działał jako płatny najmita kilku wychodźców bułgarskich: Christa uwięzionego i zbiegłych: Szyszmanowa i Tufchazjewa.

Doniosłym wypadkiem w politycznem życiu Belgii jest zjednoczenie się rozdzielonych dotąd żywiołów postępowo-liberalnych, które odegrać może ważną rolę podczas rewizyi konstytucyi. Jeżeli związek ten utrzyma się, ultramontanie nakoniec doczekają się zasłużonej porażki.

Lord Salisbury dał uczuć Porcie nietylko swą siłę, ale i przezorność. Wstrzymał on ferman sułtański, uznający Abasa kedywem Egiptu, dlatego, że w akcie tym pominięto wzmiankę o zwierzchnictwie władcy egipskiego nad półwyspem Sinai, przylegającym do kanału Sueskiego. Naturalnie Anglia nie mogła pozwolić, ażeby ten punkt wszedł w zawisłość od Turcyi, a nie od Egiptu, który ona opanowała.

Wojna Francyi z Dahomejem posunęła się o tyle naprzód, że Izba wyznaczyła już na nią pieniądze.

---

[1]

Ideał panny Julii.

OBRAZEK GALICYJSKI.

W gabinecie profesora cisza panowała zupełna. Przez spuszczone rolety słońce południowe kładło na lśniącą posadzkę długie pasma przyćmionego światła, ożywiając poważne, cokolwiek za posępne wnętrze gabinetu. Od wykwintnego obicia ścian gustownie odbijały ciężkie, czarnoponsowym aksamitem kryte meble; całą długość bocznej ściany zajęła bogato inkrustowana czarna szafa; za jej szybami widniały ściśle ustawione grube tomy, szklane słoje i stosy skrzyneczek, zapełnione okazami świata organicznego. Na kominku, przysłoniętym rzeźbioną kratą, staroświecki bronzowy zegar dźwięcznym rytmem wydzwaniał minuty. Byłby to może jedyny odgłos, gdyby od czasu do czasu nie dawał się słyszeć szmer przewracanej karty lub skrzyp pióra, szybko przesuwanego po papierze. Profesor pracował. Na jego obszernem biurku mieściły się całe stosy rękopisów, broszur, gazet. Otwarta księga leżała na boku; zaglądał do niej co chwila i starannie notował coś w grubym zeszycie. Mikroskop, lupa, ważki, szczypce i nożyki wielką grupą zajmowały drugi kąt biurka; dwa uschłe barwne motyle, umieszczone na wysokich pręcikach, zdawały się bujać swawolnie wśród poważnego świata nauki.

Niezmącona cisza dobrze usposabia do pracy. Wielkie natężenie myśli odbijało od twarzy piszącego, znacząc się głęboką bruzdą na wysokiem czole. Młoda to jeszcze była twarz, ale nosiła już wyraz zmęczenia, podkreślający się niejako głębokiem, rozmarzonem trochę spojrzeniem. Ani delikatne ręce, ani szczupłość figury, ani wreszcie wykwintne ruchy nie zdradzały jego pochodzenia; zdawało się, że urodził się i wyrósł w pieszczonej atmosferze zbytku i zajęć umysłowych. A jednak krążyły wieści, że pochodził z ubogiego mieszczaństwa, że całe dzieciństwo chodził boso, nieraz głodny i bity. Jedynie zdolności przyrodzone, a bardziej może systematyczna nieprzerwana praca postawiła go na dzisiejszym stopniu i w dzisiejszem otoczeniu. Dodawano jeszcze, że stanowczą a potężną dźwignią był znaczny posag żony, który odrazu dał mu możność rozwinąć pracę, uzupełnić ją podróżami i pozwolić na wszelkie eksperymenty bez oglądania się na materyalną ich podstawę. Bądź co bądź, sławy niezmordowanego i użytecznego pracownika nikt mu odmówić nie śmiał. Przed paru laty obszerna jego praca nad organizmami jestestw ziemnowodnych zwróciła uwagę uczonego świata; wkrótce potem otrzymał wezwanie na wakującą posadę uniwersytetu x-skiego. Podczas lata miał zwyczaj poświęcać kilka tygodni na wędrówki po Europie; utrzymywał, że wtenczas oddawał się zupełnie wypoczynkowi, spore jednak zbiory, jakie przywoził z tych wycieczek, świadczyły co najmniej o manii uczonego, nieumiejącego obojętnie minąć się z żadnem *rara avis*. Przed paru dniami wrócił właśnie z podobnej podróży i teraz oddał się całkowicie uporządkowaniu przywiezionych nabytków. W robocie tej pogrążony był tak bardzo, jakby świat zewnętrzny nie istniał wcale, jakby wszystko, co może być godnego uwagi, streszczało się tu, na tem biurku uczonego. Delikatny, ale donośny głos dzwonka w przedpokoju wstrząsnął nim jak huk gromu. Wyraz niezadowolenia przebiegł mu po twarzy; nie przerwał jednak zajęcia, owszem głębiej jeszcze zastanowił się nad urwaną nagle nicią swej myśli. Po chwili odezwało się lekkie pukanie do drzwi; nie odwracając głowy, półgłosem wymówił: proszę wejść!

Stąpanie tak ciche, że ledwo dało się słyszeć, doszło do środka pokoju i zamilkło. Cisza wróciła znowu, rytmem zegara tylko przerywana. Nagle zaniepokojenie ogarnęło piszącego. Kto to być może? Obejrzał się za siebie i nagle, rzucając pióro, wstał z fotelu.

Na środku pokoju stała wysoka, szczupła postać młodej dziewczyny. Z pod ocieniającego ronda kapelusza błyszczały ciemne, wyraziste oczy i zdawały się szklić łzami; na drobnej, mizernej twarzy błądził uśmiech miły a zarazem tak smutny i pełen dobroci, że jak czarem pociągał ku sobie. Stała tak, nie ruszając się z miejsca, uśmiechając się ku niemu, aż profesor w paru krokach znalazł się przy niej.

— To pani, panno Julio, przyszłaś, przyszłaś! — powtarzał, niewiele bacząc na sło-

BADANIA NAUKOWE.

NOWA UTOPIA.

W kilku numerach czasopismo naukowe *Revue Scientifique* drukowało pracę, z tytułu swego nader obiecującą a poświęconą rozpatrzeniu stosunków, jakie będą panowały wśród ludzkości za lat 100, tj. w r. 1992. Nazwisko autora, Karola Richeta, uczonego, znanego daleko po za obrębem Francyi ze swoich poszukiwań w zakresie psychologii, skłoniło nas do bliższego rozejrzenia się w tej rozprawce. Jeżeli słuchamy nieraz pokrewnych wywodów ze strony umysłów miernej inteligencyi, tem bardziej ciekawa dla nas być musi próba przeniknięcia dalszej przyszłości przez człowieka, zajmującego poważne stanowisko w nauce, a czyniącego to bynajmniej nie w tym celu, aby rozkołysanej wyobraźni kilkunastoletniego czytelnika dostarczyć wątku do marzeń, lecz żeby, opierając się na podstawie naukowej i posługując się metodą ścisłą, odchylić nieco zasłonę, zakrywającą przyszłe drogi społeczeństwa. Naturalnie, zgoła nie twierdzimy, aby specyalista naukowy koniecznie musiał powiedzieć coś niezmiernie mądrego i aby przed jego słowami należało padać na kolana w pokorze ducha. Nawet wielki znawca na jednem polu, może być zupełnym dyletantem na innem. Atoli już zgóry można przewidywać, że każdy uczony, zacząwszy snuć mrzonki o przyszłości, nawet obracając się jedynie w deptaku umysłowości pospolitej, nada szatę naukową postaciom najbardziej jałowego myślenia filisterskiego. Umiejąc rozumować metodycznie, wnioski pospolitości codziennej oprawi w ramy ścisłe, a raczej usystematyzuje i tem samem uświadomi metodę wnioskowania filistrów o przyszłości. Otóż winniśmy również przyznać pracy Karola Richeta, że ona zasługuje na uwagę jedynie z tego ostatniego powodu, mianowicie stanowi klucz do metody rozumowania filisterskiego — nie więcej. Rozumowanie to, zastosowane do społeczeństwa i rozszerzone do kolejności następujących po sobie zjawisk, a w tej liczbie do przewidywania przyszłości, oddawna zyskało w nauce społecznej prawo obywatelstwa i stworzyło w niej szczególną szkołę, ktora przywłaszczyła sobie miano ewolucyonistów. Jest to ewolucyonizm ten sam, który znajdujemy w całej pełni u Spencera, a który kiedyś tak niefortunnie stosowany u nas przez B. Prusa wygląda teraz z każdej rozprawy Richeta. Że jedno zjawisko społeczne wypływa z drugiego i że pomiędzy niemi istnieje stały związek przyczynowy, że zmiany w ustroju społecznym wymagają odpowiedniego czasu, niekiedy bardzo długiego i że dzięki temu nieraz podążają nadzwyczaj wolno, te podstawowe założenia są właściwe każdemu naukowemu pojmowaniu świata społecznego i bynajmniej nie stanowią jakiejś wyjątkowej przynależności ewolucyonizmu. Istotne jądro ewolucyonizmu mieszczańskiego — bo właśnie to pojmowanie jest znamieniem socyologów mieszczańskich — tkwi zgoła w czemś innem. Jego cechę zasadniczą unaocznimy najlepiej w przykładzie. Ukształtowanie związku małżeńskiego przechodziło, jak wiadomo, fazy najrozmaitsze; kiedyś był on nader złożony i składał się z mnóstwa osób, lecz to grono małżonków w zakresie cywilizacyi aryjskiej zmniejszało się z biegiem czasu, aż wreszcie pozostało w najprostszej formie: pary pojedynczej z prawem ojcowskiem. „Ewolucyonista,“ kreśląc dzieje związku małżeńskiego, bardzo mało zajmuje się czynnikami, które zmuszały poprzednie formy przekształcać się w dalsze, a prawo macierzyste zamieniło na ojcowskie. Zatrzymuje on swoją uwagę jedynie nad prostem następstwem form kolejnych, a nic więcej już go nie obchodzi. Ogłasza zatem, że postęp polega na dążeniu do stadła małżeńskiego z pary pojedynczej z prawem ojcowskiem, a ten wynik rozumowania „indukcyjnego“ uznaje za regułę, która obowiązuje najdalszą przyszłość. Niestety, para ta nie może uledz już dalszemu zredukowaniu, ale gdyby zdołała to uczynić, ewolucyonista na zasadzie zmienności dotychczasowej zawyrokowałby, że i dalej związek małżeński będzie przekształcał się w tym samym kierunku. Rozwój małżeństwa zatem jest rozpatrywany w zupełnem oderwaniu od reszty stosunków społecznych. Ktoś, jak to zresztą uczynił Fourier, a za nim inni, mógłby na to powiedzieć, że dalszy rozwój, uspołeczniając wychowanie dzieci i prywatne gospodarstwo kuchenne, przekształci do gruntu istotę związku małżeńskiego i przywróci prawo macierzyste; zdanie to, może fałszywe, wychodzi jednak z założenia, że ewolucya rodziny bynajmniej nie jest czemś niezależnem, lecz przeciwnie stanowi tylko następstwo rozwoju własności. „Ewolucyonista“ poszukiwaniem takich przyczyn głębszych nie zajmuje się. Otóż ten sposób rozumowania, właściwy ewolucyonizmowi mieszczańskiemu, uwydatnia się wciąż u Richeta. Weźmy dzisiejszy całokształt stosunków społecznych i zobaczmy, jak on rozwijał się w ciągu ostatnich np. lat 50. Dostrzeżemy, iż ludność Stanów Zjednoczonych wzrasta nadzwyczaj szybko, Francyi zaś z niezmierną powolnością, że procenty od wypożyczonych kapitałów zmniejszają się, że obfitość srebra staje się większa w porównaniu ze złotem, a stosunki międzynarodowe przybierają charakter coraz większej zażyłości itd. Nie pytając, jakie przyczyny sprawiły ów bieg dotychczasowy, czy wszystkie dzisiejsze stosunki pozostaną nadal oraz czy będą się rozwijały według modły dotychczasowej, Richet uogólnia indukcyjnie procesy dawniejsze i przyjmuje, że przyszłość będzie rozwijała każdy objaw teraźniejszości według wzorów dotychczasowych. Wiemy np., że jednem z najcharakterystyczniejszych zjawisk chwili obecnej jest wyludnianie się wsi, a natomiast nader szybki rozrost miast. Richet, przyjmując to pod uwagę, kreśli odpowiedni obraz położenia za lat 100. Mianowicie ludność wiejska pozostanie mniej więcej na tym samym szczeblu liczebności bezwzględnej, a zatem spadnie znacznie procentowo. Natomiast miasta rozrosną się niepomiernie. Gdyby wzięto dotychczasową stopę ich rozrostu, trzy wielkie ogniska cywilizacyi dzisiejszej: New-York, Londyn i Paryż liczyłyby pospołu w 1892 r. aż 60 milionów mieszkańców. Sam Richet przeląkł się tej olbrzymiej cyfry i znacznie ją zmniejsza. A zatem Londyn będzie posiadał około 10 mil., Paryż 5—6 mil. mieszkańców. Będą to w całem tego słowa znaczeniu narody w narodach, a państwa w państwach z sa-

---

wa, a patrząc oczami, które zachodziły mgłą rozmarzenia.

Stali tak parę sekund, wzrokiem się witając. Kobieta pierwsza ochłonęła.

— Dowiedziałam się o pańskim powrocie, odnoszę więc robotę.

Podeszła do biurka i złożyła spory zwój papierów, który przyniosła ze sobą.

— Niechże pani usiądzie — ozwał się profesor wesoło, przysuwając jej krzesło i sam zajmując zwykłe swe miejsce. Dawnośmy się nie widzieli, jakże pani się miewa?

Przy ostatnich słowach oczy jego troskliwie przesunęły się po jej twarzy.

— Mizernie pani wyglądasz; czy całe lato przepędziłaś w mieście?

— Całe — odrzekła zcicha, rumieniąc się lekko pod jego badawczem spojrzeniem, a chcąc zmienić temat, dodała żywo: Niechże pan spojrzy na moją robotę; nie wiem, czy będzie pan z niej zadowolony.

Rozwinęła rękopis.

— Jesteś pani jedyną, umiejącą odczytać moje hieroglify; chociażbyś więc źle skopiowała, zawsze jeszcze będzie dobrze. Ale pani nie umiesz źle pisać.

Ta skromna pochwała zdawała się czynić ją szczęśliwą.

— Przywykłam do pańskiego sposobu pisania i wyrażania myśli — odparła, powstrzymując uśmiech.

— I dopełniasz je pani, jeśli przez nieuwagę gdzie znajdzie się luka — odrzekł, oddając uśmiech za uśmiech. Gdyby nie współudział pani, nie wiem, czyby mię czytelnicy zrozumieli.

Na to nie odrzekła; zamyśliła się tylko i twarz jej zesmutniała nagle.

— Może przeszkadzam panu? — ozwała się, powstając.

— Dlaczego pani uciekasz? Jeszcze chwilkę — odparł, prosząc i ująwszy jej rękę, zmusił, aby znów usiadła.

— Jakże się tu pani powodziło? — spytał troskliwie.

— Jak zwykle! — odparła wymijająco. A pan gdzie spędził lato?

— Byłem jedynie w Styryi. Urocze tygodnie tam spędziłem. Wałęsałem się po górach, po lasach, mieszkałem w domku, jak gniazdo uczepionym przy urwisku. Co za przepyszne miałem widoki, co za królewskie kąpiele w źródle, które kaskadami z gór spadało...

Ożywiał się; widać było, że obrazy te przesuwają mu się przed oczami.

— Czy byłeś pan... sam jeden? — spytała nieśmiało, nieznacznie w oczy mu patrząc.

Cień niesmaku przesunął mu się po twarzy.

— Tak... jeden — odparł niechętnie i zaraz dodał żywiej: I tam też nikogo nie poznałem; z umysłu nie chciałem zabierać żadnych znajomości. Byłem sam tylko, sam z naturą...

Rozmarzenie znowu malowało mu się w oczach. Panna Julia wzrokiem zawisła na jego twarzy.

— Szczęśliwiec z pana! — westchnęła z uśmiechem. A dużo pan tego przywiozłeś? — dodała, wskazując na otwarte pudło.

— Niewiele, ale dość rzadkie rzeczy.

Wziął skrzynkę na kolana i wyjmując jeden okaz po drugim, wymieniał ich nazwy. Panna Julia pochyliła się również i przez chwil kilka zdawało się, że nic dla nich nie istnieje oprócz nomenklatury owadów i ich właściwości. Profesor mówił z takiem ożywieniem i tak swobodnie, jak do osoby, która go w zupełności zrozumieć może. Wreszcie skończył, zwracając się do niej z prośbą.

— Trzeba to będzie poumieszczać właściwie, dołączyć do tamtych zeszłorocznych, wiesz pani? Wszak mi nie odmówisz swej pomocy?

Cień przesunął się po twarzy panny Julii.

— Na nieszczęście, muszę to zrobić.

— Jakto! — podniósł głowę i wpatrzył się w nią zdziwiony.

— Bo właśnie wkrótce... — zaczęła i głos jej się urwał. Przyszłam właśnie oznajmić panu, że wkrótce wyjeżdżam stąd zupełnie.

Dokończyła jednym tchem.

Na twarzy profesora zrazu wybiło się ogromne zdziwienie, potem przemknęła bladość chwilowa. Wstał z krzesła i bezwiednie trzymając skrzynkę w obu rękach, oparł się o brzeg biurka. Milczał; znać było, że na razie myśli zebrać nie może.

— Wyjeżdżasz pani? — powtórzył wreszcie głosem bez dźwięku. Czy mogę wiedzieć, co tak nagle panią zdecydowało?

Ona też powstała; obie dłonie wsparła na biurku i pochyliwszy lekko głowę, wpatrywała się w rysunek rozpostartego pod nogami kobierca.

modzielną organizacyą polityczną. W tych wywodach psycholog francuski przeoczył jedną sprawę. Różnica pomiędzy wsią a miastem jest zjawiskiem natury historycznej. Istniał okres dziejowy, kiedy tych patologicznych mrowisk ludzkich, jakiemi są miasta z ich brakiem powietrza i słońca, nie było na globie ziemskim. Otóż powstaje pytanie, z całą siłą podnoszone już dzisiaj przez niektóre umysły wybitne, że w dalszym rozwoju cywilizowanej ludzkości, mianowicie z chwilą zniesienia anarchii rynku i zapanowania świadomego regulowania produkcyi, same miasta podobnie rozpłyną się, jak ongi powstały, a jednocześnie zanikną te zaścianki rutyny, jakimi są wsie, i samo rozmieszczenie topograficzne ludności krajowej przyjmie formy zgoła odmienne od teraźniejszego. Atoli Richet podobnych kwestyj nie dotyka, jego „ewolucyonizm“ przyjmuje, że wszystkie dzisiejsze objawy życia społecznego pozostaną i nadal, rozwijając się w dotychczasowym kierunku. W ten sposób z góry już usuwając zbadanie przyczyn dotychczasowej ewolucyi, nawet nie przypuszcza, że z biegiem czasu niektóre stosunki mogą zupełnie zniknąć.

Rozpatrzmy teraz szczegółowo jego utopię. Pomijamy możliwy w przyszłości rozwój nauki i techniki. Że nasze wozy zostaną zastąpione przez parowe lub elektryczne i że welocypedy elektryczne staną się zwykłym środkiem komunikacyi; że zamiast kamienia i drzewa ludzie używać będą wtedy do budowli żelaza i że nastanie okres nowego stylu w architekturze; że różne kanały przerzną tu i owdzie glob ziemski; że człowiek wyhoduje za pomocą doboru nowe gatunki pożytecznych sobie zwierząt i może weźmie się do świadomej hodowli samego siebie i stworzy naukową antropotechnikę — wszystkie te wywody pozostawiamy na uboczu, zaznaczając zgodnie z autorem, że niepodobna w żaden sposób przewidzieć całego postępu i wszystkich ulepszeń. Głównie nam tu idzie o stronę społeczną utopii psychologa francuskiego. Według skali dotychczasowej oblicza on, że zamiast 1450 milionów glob ziemski będzie posiadał w 1992 aż 2500. W tej liczbie największy postęp przypada na Amerykę i Australię, mianowicie ludność pierwszej wzrośnie z 120 do 685 mil., drugiej zaś z 5 do 30. Zaludnienie Europy z 375 powiększy się do 778, Azyi z 775 do 1000, wreszcie Afryki z 50 mil. podwoi się. Lecz ten obraz nie daje jeszcze pojęcia o faktycznem znaczeniu pojedynczych grup ludzkości. Znajdujemy w ciągu dalszym i tego rodzaju wyliczenia. Pierwsze miejsce przypada grupie lingwistycznej chińskiej, która posiadać będzie wówczas około 500 mil. przedstawicieli. Drugie — językowi angielskiemu; będzie nim mówiło w 1992 r. według Richeta 400 mil. w Stanach Zjednoczonych, 90 w Europie, 30 w Australii i tyleż w Indyach przedgangesowych i po 10 w Kanadzie, Kaplandzie i innych częściach Afryki. Ruskiego będzie używało 350, niemieckiego 100 mil. osób, przytem oba te języki nie wykroczą po za obecne swoje terytorya gegraficzne. Francuskim będzie mówiło w Europie 50, w Algierze 10, w innych okolicach Afryki również 10, w Indo-Chinach 15 mil., hiszpańskim zaś i portugalskim w Europie i południowej Ameryce 235. Zdaniem Richeta, są to jedyne języki, do których należy przyszłość — dzięki olbrzymiej liczbie swoich przedstawicieli; inne grupy etniczne w następstwie swojej małoliczebności są skazane na odgrywanie roli kopciuszków cywilizacyjnych, a badacz francuski w tej przepowiedni posuwa się tak daleko, że przyszłość np. języka duńskiego porównywa do narzeczy kochinchińskich. Zaznaczymy tylko wróżby polityczne: rozpadnięcie się monarchii habsburskiej i państwa ottomańskiego, zjednoczenie państw Ameryki południowej w jedną federacyę, a zapanowanie anglików w Indyach przedgangesowych, francuzów zaś w Indo-Chinach; przechodzimy natomiast do stwierdzenia stosunków międzynarodowych w 1992 r. Richet sądzi, że jak my dzisiaj spoglądamy z uśmiechem na dawne zawiści zaściankowe pomiędzy Lukką a Pizą, kiedy najnędzniejszy obywatel pierwszego miasta uważałby za największą zniewagę przyjąć cokolwiek od mieszkańca drugiego, podobnie przyszłość spojrzy na nienawiść tegoczesną pomiędzy prusakiem a francuzem. Sądy polubowne zastąpią dzisiejsze rozstrzyganie zawikłań pomiędzy narodami za pomocą oręża. Zresztą to zbliżenie się ludów Richet uważa, z najzupełniejszą słusznością, za konieczne następstwo dzisiejszych środków komunikacyi, przytaczając zdanie jakiegoś historyka, który wyrzekł, że gdyby mu wypadło pisać kiedykolwiek dzieje powszechne, podzieliły je na dwa okresy: jeden przed powstaniem kolei żelaznych, drugi po ich nastaniu. Dzisiaj już Paryż jest oddalony jedynie o 7 dni drogi od New-Yorku, o 3 od Moskwy, tj. że obecnie prędzej można zajechać np. do tej ostatniej, niż w 1830 z Paryża do Nantes. Richet sądzi, że prędkość przejazdu wraz z taniością znacznie się zwiększy i że koleje żelazne lub inne odpowiednio dogodne środki komunikacyjne przerzną obficie glob ziemski, zbliżając pomiędzy sobą odległe okolice. Dzisiaj każdy wykształcony człowiek zna choć jeden kraj obcy; w przyszłości podróż na około świata, którą w wieku przeszłym odbyło zaledwie kilka nader odważnych osób, będzie konieczną podstawą wykształcenia, wymagając zaledwie miesiąc czasu i nie pozbawiając turysty ważniejszych wygód. Z góry można pojąć, jak ta okoliczność oddziała na umysłowość ludzką i jak widnokręgi ludzi przyszłości będą wyglądały odmiennie. „Dzisiaj już wynalazek, zrobiony w Rzymie, jest natychmiast znany i wykonywany w New-Yorku i Moskwie. Ludzkość tworzy całość olbrzymią, posiadającą wspólne życie, wspólne idee i zwyczaje. Ta dążność do ujednostajnienia jest może godną nagany ze stanowiska malowniczości, lecz istnieje punkt inny, równie zasługujący na uznanie, jak żale malarzów — dobrobyt jednostek. Ten dobrobyt zwiększa się wciąż, postęp bowiem, dokonany w jednym punkcie tego organizmu olbrzymiego, wszędzie znajduje oddźwięk.“ Wraz z rozrostem środków komunikacyjnych i ujednostajnieniem warunków życia wystąpią inne jeszcze objawy zbliżenia, np. jednakowe miary i jednakowe wagi nastaną na całym obszarze globu. W zastosowaniu do życia wewnętrzno-krajowego Richet kreśli znane wzory. Własność prywatna pozostanie podstawą pożycia społecznego, przemysł i handel ulegną dalszej centralizacyi, lecz ziemia zostanie rozdrobniona; nie wiemy w jaki sposób da się to pogodzić z przypuszczonem gdzieindziej zastosowaniem na wielką skalę maszyn do roli. Ale mimo to różnice po-

---

Patrzył na nią rozmarzonemi oczami, a rysy ściągnęły się mu wyrazem dotkliwego smutku.

— Dlaczego? — spytał tonem wyrzutu, gdy ona wciąż milczała.

Podniosła na niego promienne, myślące oczy; malowało się w nich niezłomne postanowienie.

— Wyjeżdżam do wuja, do W. On mi tam obiecał wykołatać posadę na kolei.

— Co panią do tego skłoniło? — spytał, lekko brwi ściągając.

— Praktyczność. Taka stała posada zawsze więcej warta od przypadkowych lekcyj lub innych zajęć.

A widząc, że to ostatnie niemile go dotknęło, dodała szybko:

— Muszę w tym roku oddać brata do szkół; wuj życzy sobie, aby tam był, pod jego okiem, a rozłączać się z nim nie chcę.

Patrzył na nią w milczeniu.

— A nasze zbiory? A moje rękopisy? — spytał miękko, głos nieco zniżając. Zginę tu bez pani...

Na bladą twarz jej wybiła łuna jasności, oczy zapaliły się promieniami. Opanowała się jednak i siląc się na żart, odparła:

— Znajdziesz pan kogoś lepszego; czy to trudno?

Zamiast odpowiedzi, położył delikatnie dłoń swą na jej rękach i pochylając głowę, blizko a głęboko w twarz jej spojrzał.

— Zostań pani...

Prośba, żal, skarga dźwięczały w tym miękim, pieszczotliwym półszepcie.

Ból wielki na chwilę przemknął po jej rysach.

— Dlaczego mam zostać?— spytała z goryczą.

Czy zrozumiał intencyę tego pytania? Może, bo mocniej wspierając się o krawędź biurka, odrzekł wzruszony:

— Szukasz pani czegoś lepszego w swem życiu; życzę z duszy, abyś znalazła. Lecz wierz mi pani, każdy ma swoją niedolę, od której uciec trudno. Ci właśnie, których świat za szczęśliwców uważa, ci mają może najwięcej do zniesienia. Ludzi sądzi się z pozorów, a tymczasem życie wewnętrzne, rodzinne, pozostaje zawsze nieznane.

— Nie umiem ulegle cierpieć; gdy mnie co męczy, staram się usunąć.

— Czasem bywa to niemożebne. Lecz w najgorszem nawet położeniu możemy wyrobić sobie byt znośny. Kiedy się ma jakiś cel w życiu, który się bardzo ceni, to wszystko inne, choćby najprzykrzejsze, znosi się jakoś. Do tych przykrości nie przywiązujemy wtedy wielkiej wagi, mając myśl czem innem przesłonięta.

— Tak, gdy ma się ten cel — odparła w zamyśleniu.

— Co pani daje tę pewność, że tam ci będzie lepiej? — ciągnął dalej. O wszelkie posady dla kobiet jest bardzo trudno; tu masz pani trochę lekcyi, a pracy u mnie nigdy ci nie zbraknie. Właśnie miałem prosić panią, abyś, jeśli możesz, podjęła się przetłomaczenia tego oto...

Wstrzymała go ruchem ręki.

— Dziękuję panu za współczucie — podkreśliła to słowo — ale tego zrobić nie mogę. Przyrzekłam wujowi i słowa zmienić nie mogę. I po chwili, wyciągając doń rękę, dodała:

— Żegnam pana.

Ujął tę rękę, nieco ją uścisnął i zatrzymał w swojej.

— Będzie mi tu bez pani ciężko, bardzo ciężko — rzekł znowu swoim miękkim szeptem.

Usta jej drgnęły boleśnie, pochyliła głowę i oczy przysłoniła powiekami. Trzymając jej rękę w swoich, postępował obok niej do drzwi. Tu ją zatrzymał.

— Kiedy się zobaczymy? — Pokornie prawie zapytał. — Wszak będziesz pani tu przyjeżdżać?

— Jeśli wypadnie potrzeba.

— Niechże mię pani wtedy nie ominie, koniecznie, proszę! A jeśli znajdziesz się pani w jakiej potrzebie, to zwróć się do mnie.

Czy mi to pani przyrzekasz?

Mocniej uścisnął jej rękę i spojrzał w oczy błagalnie.

Ona z każdą chwilą stawała się smutniejszą i bardziej powolną.

— Przyrzekam — powiedziała tak cicho, że bardziej domyślił się niż posłyszał.

Pochylił głowę i na chwilę gorącemi ustami przylgnął do jej ręki.

— Bądź zdrów — szepnęła uroczyście końcami zbielałych ust. Wysunęła mu rękę z dłoni i znikła za drzwiami.

(D. c. n.).

W. Dal.

między ludźmi znikną, gdyż stopa procentów tak spadnie, iż trzeba mieć bardzo wielki majątek, aby z dochodów wyżyć jako tako. Robotnik zyska lepsze utrzymanie, dzięki utanieniu produktów.

Słowem, zapanowanie Anglii i Rosyi, zniesienie wojny i zbliżenie się ludów pod wpływem rozrostu środków komunikacyjnych, demokratyzacya społeczeństwa dzięki spadkowi stopy procentowej, reformom podatkowym i utanieniu wytworów, takie są najważniejsze rysy utopii Richeta w zakresie objawów społecznych. Na tem tle kreśli on szczegóły, które pomijamy, a których ogólny charakter zaznaczyliśmy już powyżej. Między innemi psycholog francuski nadzwyczaj lekceważąco odzywa się o Bellamym, dziwiąc się, jakim sposobem znalazł on tylu czytelników; amerykanin ów z podobną słusznością mógłby zadać pytanie, jakim sposobem tak mało naukowa pod względem metody praca, jak Richeta, znalazła się w łamach czasopisma ściśle naukowego.

Ż.

NOWE PROJEKTY WYPRAW POLARNYCH.

Po długim zastoju w wyprawach polarnych, wywołanym po części przez krytycyzm Weyprechta, po części przez kolonizacyjne dążności w Afryce, rozpoczyna się nowy ruch w tym kierunku. Byłby to daremny trud — mówi z właściwym sobie szlachetnym zapałem Supan (Pet. Mitt. 1891) — tłomaczyć tym, co i na polu geografii hołdują jedynie zasadzie użyteczności, że taki cel wart jest zabiegów człowieka; pozostawmy im ich drogi i cieszmy się, że są jeszcze ludzie, którzy, dalecy od rynkowego zgiełku, poświęcają swe życie dla celów nauki czystej. Ten powrót ku wyprawom polarnym został wywołany przez śmiałą podróż Nausena wpoprzek grenlandzkiej pokrywy lodowej i przez tegoż Nausena zainaugurowany (Pet. Mitt. 1890). Wiadomo, że w dawnych wyprawach starano się dosięgnąć bieguna trzema drogami. Pierwsza prowadzi wzdłuż zachodnich wybrzeży Grenlandyi, gdzie wyprawa angielska pod wodzą Naresa dosięgła w r. 1876 ramieni najpółnocniejszego punktu pod 83° 20′ szer. (prześcignięto później przez wyprawę Greelyego — 83° 24′), ale zarazem wyniosła przekonanie, że na tej drodze posunąć się dalej będzie zadaniem niezmiernie trudnem, a dosięgnąć bieguna — niemożebnem. Druga droga prowadzi wzdłuż wschodnich brzegów Grenlandyi i dalej przez Szpieberg, gdzie już w r. 1827 Parry dotarł do 82° 45′ szer., gdzie jednak w najnowszych czasach stosunki lodowe stały się tak niedogodne, iż dosięgnięcie bieguna na tej drodze wydaje się też niemożebne. Trzecia nakonice droga prowadzi na północ Nowej Zemli do odkrytego przez Weyprechta i Payera Franz Josef Landu i dalej na północ, gdzie w r. 1874 dosięgnięto 82° 5′ szer., gdzie jednak stosunki lodowe też są niekorzystne. To też Nausen sądzi, iż żadna z tych trzech dróg nie doprowadzi do celu.

Wobec tego niektórzy sądzili, że należy wyrzec się dosięgnięcia bieguna na drodze wodnej i obrać drogę lądową, a raczej lodową, mianowicie na saniach ciągnionych przez psy lub renifery. Grenlandzka wyprawa Nausena wykazała, że droga taka jest możliwa, jeżeli tylko wyprawa będzie należycie zaopatrzona w zapasy pożywienia i odzienie. Mimo to jednak sam Nausen nie jest za wyprawą lądową; nie sądzi on mianowicie, ażeby ląd lub jakaś wielka wyspa, np. Grenlandya, rozciągała się aż do bieguna, do podróży zaś po morzu Lodowatem nie nadają się łodzie saniowe, a zwierząt pociągowych, niezbędnych do tego, nie można w razie potrzeby zabierać na łódź. Tym sposobem wyprawa, natrafiwszy na wodę otwartą, znajdzie się wobec dylematu: albo powrócić, albo też pozostawić zwierzęta, a wtedy w razie niekorzystnego wypadku narazić się na śmierć głodową. Przytem dla niosących ratunek trudniej jest odnaleźć karawanę śród lodów polarnych, niż śród morza, którego prądy i stosunki lodowe są lepiej znane, niż np. wnętrze Grenlandyi.

Jeżeli więc i Nausen sądzi, że dosięgnięcie bieguna możliwe jest tylko na drodze wodnej, to pytanie, na której. Wiadomo, że wzdłuż wschodnich wybrzeży Grenlandyi płynie silny prąd polarny ku południowi; wzdłuż zachodnich zaś wybrzeży płynie prąd ciepły, gałąź Golfstromu, ku północy, gdy tymczasem u wybrzeży Ameryki, począwszy przynajmniej od 75° szer., płynie prąd zimny ku południowi i jeszcze na południe New-Yorku daje się uczuwać. Wreszcie dość znaczny prąd również polarnego pochodzenia, skierowany ku południowi, znaleziono między Szpicbergiem i Franz Josefs Landem. Widzimy więc, że okręty, zmierzające ku biegunowi na jednej z powyższych dróg, muszą zawsze walczyć z prądem przeciwnym; w tej to okoliczności widzi Nausen główną przyczynę, dla której wszystkie dotychczasowe próby dosięgnięcia bieguna pozostały bez rezultatu; zamiast więc walczyć przeciw prądom, należy je zużytkować. Czy jednak istnieje prąd płynący do bieguna? Główna gałąź Golfstromu ginie między Szpicbergiem, Nową Zemlą i Franz Josef Landem, gałąź zachodnio-grenlandzka nie dosięga Smithsundu. Jednakże Nausen jest zdania, że taki prąd istnieje.

Gdy Nordenskjöld opływał północne wybrzeża Starego Świata, długo nie dawał wieści o sobie tak, iż zaczęto się o niego lękać, wtedy Gordon Bewnet wysłał, jak wiadomo, w r. 1879 statek „Jeanetttę“ z poleceniem odszukania Nordenskjölda, a następnie przedsięwziecia na własną rękę badań na morzach polarnych i, jeśli to możebne, dosięgnięcia na tej nowej drodze bieguna. Wyprawa ta, kierowana przez De Longa, doznała, jak wiadomo, niepowodzenia. Zaledwie przebyto cieśninę Beryuga, gdy statek został na wschód od kraju Wrangla spętany lodami i w tym stanie dwa lata pędzony tu i tam przez prądy i wiatry, aż wreszcie w pobliżu archipelagu Nowej Syberyi poszedł na dno. Tylko część załogi zdołała się uratować, wylądowawszy na łodzi w delcie Leny, reszta wraz z wodzem zginęła.

Chociaż tym sposobem wyprawa ta zupełnie się nie udała, jednak Nausen sądzi, że ona to właśnie była na właściwej drodze, a to z następujących powodów. W r. 1884 pod Julianehaab na zachodniem wybrzeżu Grenlandyi przybiła do lądu kra lodowa, na której znajdowało się przymarznięte ubranie jednego z majtków „Jannetty“; ubranie to mogło się tu dostać trzema drogami: albo uniósł je prąd ku zachodowi koło przylądka Czeluskin, między Nową Zemlą i Franz Josef Landem, między Norwegią i Szpicbergiem, Islandyą i Grenlandyą i dalej około przylądka Farewell, południowego rogu Grenlandyi; albo porwane prądem na północ dostało się przez nieznane obszary do Smithsundu i dalej przez zatokę Baffina; albo wreszcie z tych nieznanych obszarów z prądem polarnym wzdłuż wschodnich brzegów Grenlandyi i ku południowi, a potem około Farewellu.

Jeden rzut oka na globus przekonywa, że pierwsza z tych dróg jest najdłuższa, a przytem mimo dobrej znajomości morza między wyspami Nowej Syberyi i Grenlandyi nie napotkano tam prądu płynącego ku zachodowi. Prądy zimne płyną z północy na południe lub z północo-wschodu na południo-zachód, ciepłe zaś w kierunku przeciwnym. Gdyby zaś kra obrała drogę drugą, to musiałaby przybić do wybrzeży amerykańskich, przeciwległych zachodnim wybrzeżom Grenlandyi, albowiem u tamtych wybrzeży płynie prąd zimny ku południowi, podczas gdy u zachodnich wybrzeży Grenlandyi płynie prąd ciepły ku północy; pozostaje więc jedno tylko przypuszczenie, że kra przypłynęła z prądem polarnym, płynącym ku południowi wzdłuż wschodnich wybrzeży Grenlandyi i dostawszy się następnie koło przylądka Farewell w moc prądu ciepłego, została przezeń zaniesiona na wybrzeże zachodnie.

(D. n.)

W. N.

K A R T K I

Dziedziczność talentu malarskiego. Ukazała się świeżo w języku francuskim praca L. Arréata, poświęcona psychologii malarza*). Autor porusza w niej sprawę dziedziczenia po przodkach talentu malarskiego. Zagadnienie o przekazywaniu się uzdolnień duchowych zyskuje w książce tej nowy a dość poważny przyczynek. Autor zaznacza przedewszystkiem, jakie są składowe i zasadnicze pierwiastki twórczości artystyczno-malarskiej, a wskazawszy je (ciekawość, pamięć ruchów, barw i kształtów, wreszcie uczuć i emocyj), poszukuje następnie nie tyle przechodzenia z rodziców na dzieci samego zawodu malarskiego, ile dziedziczności owych pierwiastków. Czyni on bowiem słuszną uwagę, że nie zawsze można powoływać się na piastowanie zawodu malarskiego przez ojca i syna, jako na dowód dziedziczności. Jeżeli syn, chociaż żyje z pędzla, jest miernotą, wtedy przekonywająca siła tego spadkowania jest prawie żadna. I w rzeczy samej bardzo często się zdarza, że syn bierze się do malowania jedynie pod wpływem otoczenia i stosunków ojca; jest to dlań utarta już droga zarobku. Fakty takie widzimy w dziejach malarstwa włoskiego, francuskiego, zwłaszcza zaś flamandzkiego. We Flandryi np. istnieje do 16 dynastyj malarskich, niekiedy liczących po 5 pokoleń z kilku przedstawicielami w każdem. Arréat tylko wtedy zajmowanie się malarstwem uważa za dowód dziedziczności, jeśli syn przewyższa ojca lub mu dorównywa swojemi uzdolnieniami.

Przyjrzyjmy się przytoczonym dowodom, naprzód bezpośredniej natury, kiedy po ojcu malarzu i architekcie następował syn malarz, bardziej utalentowany. Z licznych faktów ograniczymy się jedynie do wzmianki, że pomiędzy malarzami włoskimi dziedziczność taką spotykamy w rodzinie Rafaela; ojciec jego był jednym z owych dzielnych mistrzów prowincyonalnych XV w., wykształconych a żądnych wiedzy, którzy wszystkiego się imali i wszędzie wykazywali iskry talentu. Z pomiędzy niemców można przytoczyć rodzinę Holbeinów, z pośród malarzów niderlandzkich Dawidów, Téniersów, Potterów; z francuskich — Pagetów, Vernetów, Schefferów. Autor uzmysłowia dziedziczność talentu malarskiego za pomocą podobnego rodzaju faktów w zakresie uzdolnień muzykalnych. Idyoci, pochodzący od rodziców, obdarzonych talentem do muzyki, mimo całego ubóstwa duchowego, wykazywali niezwykłą delikatność słuchu i skłonność do melodyj. Arréat, wyczerpawszy bezpośrednie dowody dziedziczności uzdolnień malarskich, poszukuje innych, nie tak rzucających się w oczy. Rozpatruje on mianowicie związek pomiędzy malarstwem a niektóremi artystycznemi rzemiosłami, jak hafciarstwo, złotnictwo i jubilerstwo. Okoliczność ta, iż owe zajęcia wymagają pewnego smaku i artyzmu, jest świadectwem, że osoby, utrzymujące się z nich, posiadają uzdolnienia artystyczne. Zwłaszcza we Włoszech mamy mnóstwo talentów malarskich, które przeszły na świat w podobnem artystycznem otoczeniu. Z pośród artystów niemieckich wymienimy Dürera. Rzecz staje się trudniejszą, kiedy przechodzimy do malarzów, którzy wyszli z otoczenia, zgoła obcego wszelkiemu artyzmowi: kramikarskiego, mieszczańskiego, włościańskiego. Jednak i tutaj można znaleźć pewne wskazówki dziedziczno-

*) L. Arréat, *Psychologie du peintre*, Paryż.

ści. Talent np. występuje odrazu u kilku braci, a wuja i synowca itd. To dowodzi, że prawdopodobnie jest on spadkiem po przodkach, którzy, pochłonięci rzemiosłem zgoła odmiennem i niesprzyjającem, nie mieli sposobności przekonania siebie i innych, że są stworzeni do czegoś innego. Nie będziemy wymieniali przypadków tego rodzaju, powiemy tylko, że są one bardzo liczne.

Wogóle, autor czynił badania w zakresie dziedziczności na 300 malarzach. Otóż okazało się, że blisko 200 było albo dziećmi malarzów albo rzemieślników fachu artystycznego. Arréat sądzi, że ta liczba dowodów byłaby daleko większą, gdyby posiadano dokładniejszy materyał. Zdarzało się, że na razie nie miał on najmniejszych wskazówek co do jakiegoś malarza, tymczasem bliższe poszukiwania wykazały, że w rodzinie jego istniały szczególne zdolności artystyczne — np. ojciec Fromeulina, adwokat, był wielkim miłośnikiem obrazów. Między innymi faktami zaznaczymy wpływy związku małżeńskiego pomiędzy rodzinami artystycznemi, chociaż nie zawsze one występują Kiedyś w Finlandyi szkoła antwerpska w w. XVII tworzyła jakby jedną wielką rodzinę. Zresztą znane są wypadki gdzie z połączenia rodzin np. Delarocha i Verneta nie ukazywał się najmniejszy talent malarski. Zresztą z góry o tego rodzaju wypadkach niepodobna wyrokować. Należałoby mieć szczegółowe dane.

Przyszłe kongresy. Zapowiedziano na rok obecny dwa zjazdy międzynarodowe: antropologów-kryminalistów i psychologów.

Pierwszy odbędzie się latem w Brukselli. Mamy przed sobą wypracowany już program zadań: 1) wzkazanie patologicznego źródła właściwości fizycznych, moralnych i umysłowych zbrodniarza urodzonego; 2) stosunek pomiędzy obłąkaniem, manią samobójczą a zbrodniczością; 3) wpływ czynników fizycznych na zbrodnię; 4) znaczenie otoczenia ekonomicznego w wywoływaniu zbrodni; 5) zastosowanie wskazówek biologii i socyologii zbrodniczej do prawodawstwa i postępowania sądowego; 6) zbrodnia obmyślana w stosunku do wpływu otoczenia społecznego i do nieprzepartych popędów osobniczo-zbrodniczych; 7) poddawania i suggestye zbrodniczej natury; 8) właściwości i rysy zbrodni, popełnianej przez dzieci, młodzieńców i kobiety; 9) niepoprawność przestępcy, jej charakterystyka i środki zapobiegawcze; 10) środki, jakie należy zastosować względem przestępców obłąkanych, którzy dokonali czynu w stanie chorobliwym lub dostali ataków już w więzieniu; 11) wpływy zawodu i zajęcia; 12) nieprzeparte żądze zbrodnicze; 12) o ile są konieczne i pożyteczne studya nad zbrodniczą psychologią i patologią wśród murów więziennych; 13) jakie postępowania należy zastosować do różnych kategoryj zbrodni niepoprawnej i jakie władze winny się zająć stosowaniem go?

Zjazd międzynarodowy psychologów, drugi dopiero z kolei, odbędzie się w Londynie w początkach sierpnia pod przewodnictwem Sidgwicka. Jest zamiar poruszyć tutaj wszystkie ważniejsze zagadnienia psychologii nowoczesnej, zwłaszcza zaś badania nad warunkami mózgowymi procesów umysłowych, nad objawami duchowości u niemowląt, ras niższych i u zwierząt w związku z prawami dziedziczności, nad psychologią stanów patologicznych i kryminologią. Komitet składa się między wielu innymi z Baina, Galtona, Romanesa, Herberta Spencera, Stouta, Warda. Przyrzekli uczestnictwo: Beaunie, Binet, Janet, Ribot, Richet, Lombroso, Preyer, Grote, Donaldson, podobno Wundt.

W.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Maksymilian Harden (Apostata).

Z młodego pokolenia literatów i publicystów niemieckich występuje coraz wybitniej postać Maksymiliana Hardena. Rozpoczął on karyerę literacką w tygodniku społeczno-literackim *Gegenwart* i odrazu zasłynął jako krytyk teatralny pierwszego rzędu. Z czasem zaczął też pisywać artykuły społeczne i polityczne, które zjednały mu większy jeszcze rozgłos. Podznaczał je pseudonimem „Apostata,“ lecz ktokolwiek znał berlińskie stosunki literackie, wiedział, że nikt inny tak ciętem nie włada piórem, że autorem tych dowcipnych artykułów może być tylko Harden. Jak wielkie było ich powodzenie, dowodzi okoliczność, że po upływie roku nakładca berliński Stilke zebrał je i wydał w formie książkowej *). Bez wahania orzec można, że od czasów Heinego i Börnego nikt w Niemczech w tak dosadny, sprytny i dowcipny sposób nie pisał o sprawach politycznych i społecznych. Bo też główną cechą umysłu Hardena, podobnie jak Börnego i Heinego, jest krytycyzm i polemiczność; jak tamci, tak i on nie wznosi się do wyżyny syntezy, lecz celuje w analizie i szyderstwie. I w tem wreszcie przypomina Börnego i Heinego, że działalność jego publicystyczna jest bezustanną, śmiałą walką. Podczas gdy część młodych literatów berlińskich po pierwszych mowach cesarza Wilhelma przejęła się uniesieniem dla młodego władcy i w nim upatrywać zaczęła zbawienie narodu, Harden odrazu dopatrzył ukryte jego dążności. To też na nim najpierw mścić się zaczął zniecierpliwiony cesarz: *Frankfurter Zeitung* za pomieszczenie fejletonu Hardena uległa konfiskacie — rzecz to niesłychana od lat dziesiątek; *Gegenwart* i *Nation*, tygodniki berlińskie, narażone są na bezustanne prześladowania. Dzielny ten publicysta i w innych sprawach zajmował stanowisko niezależne. On to swego czasu dał pochop do wystąpień przeciw Pawłowi Lindauowi, który pokrzywdził Elzę Szabelską, aktorkę.

Ladawa.

*) Maksymilian Harden. „Apostata.“ Berlin, Georg Stilke, 1892.

LSTY WIEDEŃSKIE.

(Wystawa sztuk pięknych w Künstlerhausie).

Obrazy Kossaka, Brandta, Kowalskiego, Kochanowskiego, Rauchingera, Gierymskiego, Zygmunta Ajdukiewicza. — Portrety Tadeusza Ajdukiewicza i Kazimierza Pochwalskiego. — Pochwalski w Wiedniu. — Rzeźba. Pomnik Józefa II. — Zanik naturalizmu i zwycięztwo kierunku mistyczno-kolorystycznego.

Doroczna wystawa Künstlerhausu, dwudziesta pierwsza z rzędu, uroczyście otwarta została przez cesarza Franciszka Józefa w dniu 1 kwietnia. Jest to najbogatsza, jaką kiedykolwiek mieściła przestronna świątynia na Lothringerstrasse; musiano do salonów zazwyczaj używanych dodać cały szereg pokojów, przeznaczonych na cele kancelaryjne i klubowe. Rozpatrzmy się, jak na tej wielkiej wystawie reprezentowana jest nasza sztuka. Z góry nie spodziewaliśmy się imponującego jej udziału, gdyż artyści nasi, jak wiadomo, zajęci są obecnie głównie wystawą monachijską. To też w wiedeńskim Künstlerhausie minąć można niejeden salon, nie spotkawszy się wcale z obrazem polskiego malarza. Jednak zaraz na wstępie zwraca uwagę znawcy bitwa Wojciecha Kossaka, zatytułowana: „Pierwszy krzyż Maryi Teresy w 1 regimencie ułanów.“ Jest to płótno niewielkich rozmiarow, figurki na nim liczne a drobniutkie, lecz tyle w tym ataku kawaleryi zamaszystości, taka przejrzystość w tym tłumie ludzi i koni, że obraz ma zapewnione powodzenie i nie pojedzie do Monachium bez medalu.

Józef Brandt nadesłał utwór rodzajowy; jest to scena stepowa, oddana jego zwykłą świeżą, plastyczną manierą. Kowalski i Zygmunt Ajdukiewicz obrali sobie tematy niemal identyczne i z równą opracowali je zręcznością. Obaj przedstawiają pole śnieżne, niebieskawe o zmroku; jest to krajobraz polski, oddany nader charakterystycznie, tak, że rozpoznajemy odrazu jego swojskość. I Roman Kochanowski wystąpił z krajobrazem zimowym. Aleksander Gierymski nadesłał prześliczną architekturę: przedstawia ona plac Wittelsbachowski (w Monachium) w oświetleniu wieczornem. Obraz ten jest własnością nowej Pinakoteki. Henryk Rauchinger wystąpił z trzema obrazami rodzajowymi.

Z portretów wymieniamy naprzód dwa wielkie płótna Jana Styki ze Lwowa. Są to pierwsze jego portrety, jakie zdarzyło się nam widzieć, pierwsze może, jakie wogóle wystawił. Przedstawiają profesora Zacharyewicza i przemysłowca Mikolasza. Oba pełne głębszej charakterystyki, wykonane techniką nader elegancką, świadczą, że zdolny ten artysta, który nie umiał zdobyć sobie powodzenia jako malarz religijny, na tem polu mogłby zasłynąć.

Tadeusz Ajdukiewicz, który ciągle jeszcze zajmuje w Wiedniu jako portrecista miejsce pierwszorzędne, dał dwa portrety, dowodzące, że w sztuce na niezmienionem pozostaje stanowisku. Natomiast doznał on tej niezwykłej satysfakcyi, że Juliusz Blaas, słynny portrecista, który obok Ajdukiewicza najczęściej maluje członków rodziny cesarskiej, przyswoił sobie jego metodę i najnowszy swój obraz, wyobrażający ks. Ferdynanda d'Este, wykonal tak, że przysiądz by można, iż to dzieło Ajdukiewicza: taż sama wytworna postawa jeźdźca, też samo niebo jasnobłękitne, toż samo otoczenie wojskowe znikające we mgle równiny.

I Zygmunt Ajdukiewicz wystawił studyum portretowe, a co ciekawsze, żona Tadeusza wystąpiła z portretem pastelowym, zdradzającym rękę niezbyt wprawną jeszcze, ale świadczącą o talencie.

Właściwą dumą sztuki naszej na wystawie wiedeńskiej są portrety Kazimierza Pochwalskiego. Przypomnicie sobie zapewne, że na zeszłorocznej cztery jego płótna wywołały ogólną pochwałę. Nietylko mecenasowie sztuki naszej w Wiedniu, lecz cała arystokracya tutejsza zaczęła dopytywać się o niego. Sprowadzono go do Wiednia i nakłoniono, aby w jesieni przybył na czas dłuższy dla wykonania kilku portretów. Pochwalski zdecydował się tedy opuścić Kraków. Urządził sobie pracownię w jednym z nowych, olbrzymich domów na Franz-Josefs-Quai, a zaledwie dowiedziano się, że tu osiadł, rozpoczęto formalną pielgrzymkę do jego pracowni. Kardynał Schönborn, nie wiedząc, że do niej dostać się można za pomocą windy, wdrapał się aż na szóste piętro i na nieszczęście—nie zastał artysty w domu. Inni byli ostrożniejsi i szczęśliwsi. Dziś portretuje Pochwalski równocześnie księcia Stahremberga, intendenta scen nadwornych barona Bezecnego, przemysłowca Kufnera, ministra Gautscha i innych członków wyższego towarzystwa. Dla wystawy ukończył dwa wielkie portrety: b. prezesa akademii krakowskiej Majera i Włodzimierza Dzieduszyckiego. Ten ostatni jest wprost arcydziełem charakterystyki, zdumiewa zarówno prawdą życiową twarzy i rąk, jak wybornem oddaniem czarnego ubrania. To też przy otwarciu wystawy zarówno cesarz, jak otoczenie jego, arcyksiążę Albrecht, książę Cumberland i ministrowie obsypywali artystę pochwałami. Słowem, należy on dziś do gwiazd wiedeńskich, jego powodzenie artystyczne jest równie wielkie, jak materyalne. Maluje ks. Jerzego Czartoryskiego, a nawet hr. Lanckoroński, nielubiący sztuki dzisiejszej, pozuje Pochwalskiemu.

W oddziale plastycznym nie spotkaliśmy się z dziełem dłuta polskiego. Dział ten jest jednak bogatszy, niż zazwyczaj. Główną jego ozdobę stanowi olbrzymia figura z bronzu, statua cesarza Józefa II, dzieło

profesora Brenneka. Jest to główna część pomnika, który niebawem stanie w Bernie morawskim. Zarówno o pomniku, jak o zamiarze wystawienia tej figury w Künstlerhausie wiedziała prasa i publiczność; zdumiony był jedynie cesarz Franciszek Józef. Okazało się, że klerykalna część otoczenia monarchy, niechętna myśli wystawienia pomnika Józefowi II, wiadomość tę zręcznie ukryła. Fortel ten jednak chybił celu, gdyż cesarz z tem większem zajęciem przypatrywał się dziełu. Jest to praca odpowiadająca ściśle tradycyom Raucha. Nie brak wszakże na wystawie rzeźb naturalistycznych. Grupa Dürnbauera, „Walka o byt,“ przedstawia dzikie zapasy dwóch zgłodniałych, wycieńczonych ludzi o bochenek chleba. Jest to dzieło tak wstrętne, a zarazem tak typowe, że ono jedno starczyłoby za teoryę naturalizmu, a zarazem za dowód niemożliwości utrwalenia się tego kierunku w sztuce.

W malarstwie jest on bardzo słabo reprezentowany. Zdaje się, że prąd ten, którego fale w poprzednich latach tak wezbrały, osłabł i zbliża się znowu do realizmu, z którego wypłynął. Modne, najmodniejsze są dziś pomysły Böclina i Gabryela Maxa: mistycyzm, fantazya wyniosła, gra kolorów magicznych. W tym duchu Hirschl wymalował wielki obraz, łączący wszelkie odcienie błękitnego koloru, a przedstawiający Prometeusza z sępem i oceanidy, pląsające w falach morskich. Podobnie Knupfler maluje „Walkę trytonów“ na otwartem morzu, której zdala przypatruje się zatrwożona syrena: o jej względy pono walka się toczy. Gabryel Max nadesłał obraz dziewicy w stanie ekstazy i gorzką satyrę na publiczność zwiedzającą wystawy: jest to grupa małp, przypatrująca się obrazowi niewyjętemu jeszcze z paki. Najpiękniejsze obrazy zawdzięcza Künstlerhaus Kaulbachowi. Wielkie jego płótno religijne nie jest dziełem wybitnem, lecz zachwycające są portrety, które w osobnej zebrano salce. Zwłaszcza wizerunki kobiet — bądź to, że modele były niepospolicie piękne, bądź to, że artysta je uduchowił — przykuwają widza niewysłowionym wdziękiem rysów i słodyczą wejrzenia. Prawdziwe arcydzieło nadesłał też Lenbach; jest to głowa chłopca, malowana w zwykłej zadymionej jego manierze, lecz malowana po mistrzowsku.

Obrazy historyczne, podobnie jak religijne, nieszczególnie się popisały. Olbrzymie płótno hiszpana Parladé „Traktat w Caspe“ należy do rzędu tych utworów, które wymagają długich drukowanych komentarzy, a widzowi żadnego nie sprawiają zadowolenia. Reiffenstein wystąpił jz wielkiem płótnem, w którem niezbyt szczęśliwie naśladuje Siemiradzkiego: jest to uczta Heliogobala, który na obnażone hetery sypać każe róże póty, póki wydobyć się nie mogą z pod wonnego ciężaru.

Najwięcej miejsca zajmuje, jak zazwyczaj, dział rodzajowy. Najcelniejszem tu płótnem jest „Msza przed kapliczką w Hiszpanii“ Franciszka Pradilli, obraz łączący mnóstwo drobniutkich figurek, wykonanych chyba przy pomocy lupy. Zresztą wystąpili wszyscy niemal popularni niemieccy mistrzowie obrazu rodzajowego: widzimy Defreggera i nieśmiertelnych jego chłopów tyrolskich, Blaasa, który od długich lat nadsyła z Wenecyi tęż samą zawsze postać kobiecą, która nazywa się Ninettą, drugi raz Mariettą; Grütznera i wielu innych. W tej właśnie dziedzinie uderza brak obrazów naturalistycznych i osłabienie tendencyi do obierania motywów, wymagających traktowania *plein-airowego*. O ile zaś ono jest użyte, stosuje się już nie do postaci brzydkich, obszarpanych, odpychających, lecz do motywów poetycznych. I tak Goltz, który jeszcze w roku zeszłym wystawił płótno olbrzymich rozmiarów, wyobrażające łąkę zielonego szpinaku, a na niej starą żebraczkę, tego roku nadesłał łączkę znacznie mniejszą, zabarwioną brzaskiem porannym, a na niej młodziuchną pasterkę z główką okwieconą. W tych dwóch obrazach znanego naturalisty wiedeńskiego przebija się cała zmiana kierunku, która zaszła w sztuce, przynajmniej w sztuce niemieckiej.

Pejzaż ma dziś w Niemczech i w Austryi przedstawicieli pierwszorzędnych. Achenbach co roku parę jeszcze wykonywa prześlicznych krajobrazów włoskich, które zdaniem naszem nietylko są ostatnimi w tem stuleciu, lecz zarazem najcelniejszymi, bo łączą w sobie zdobycze wszystkich poprzednich pokoleń mistrzów tego rodzaju.

Stwosz.

MUZYKA.

I teatr i Towarzystwo muzyczne wysadziły się w ostatnich dniach na parę wieczorów poważniejszych. Nie mówimy już, rzecz prosta, o p. Michałowskim, na którego pięćset par oczów dziewiczych z zaparciem tchu w piersiach spogląda przez lornety i któremu wolno dziś już na estradzie „prosić o względność“ opuszczać *allegro* z koncertu Chopina z powodu, „że czuje się niezdrów“ — lecz mamy na myśli nowe dzieło p. Noskowskiego p. t. *Jasio*, będące szeregiem waryacyj na chóry i orkiestrę, partye solowe i obrazujące w sposób poetyczny znany motyw ludowy o Jasiu i Kasi. (Przy sposobności zwracamy uwagę, zdaje się, że nie zbyteczną, iż nie są to owi Jasio i Kasia z *Nitouche*, najcenniejszej po *Ptaszniku* z *Tyrolu* perły w repertuarze „kół artystycznych“ naszego miasta). Jeśli wogóle porównania między utworami różnych rodzajów mają racyę bytu, powiemy, że p. Noskowski tylko w *Morskiem Oku*, tego samego wieczoru wykonanem, jest naprawdę twórczy i porywający, w *Jasiu* jednak tylko pojedyncze miejsca robią wrażenie pieśni rzewnej, szczerej i swojskiej. Zwłaszcza partya tenorowa dźwięczy nutą istotnego uczucia i rzetelnej melodyi. W całości jednak przeważa cecha wielkiej łatwości pisania nad prostotą i naturalnością. Instrumentacya jest błyskotliwa i bardzo urozmaicona, z wyjątkiem wszakże wtóru do zagrobowej pieśni, ten bowiem jest i naciągnięty i wyciągnięty nad miarę. Nadto godzi się zaznaczyć, że mimo ciskane przy rozmaitych okazyach gromy na Wagnera i przygryzki pod adresem nowatorów w muzyce, autor łyknął porządny haust tego kordyału. Nie czyni to zresztą żadnej ujmy indywidualności p. Noskowskiego, która, prawdę mówiąc, mimo superlatywy pochwał dziennikarskich, ujawnia się dotąd głównie w wyśmienitym obiorze tematów poetyckich. Jest to, oczywiście; kompozytor nie tuzinkowych zdolności, ale jeśli za każdym nowym utworem mamy mu grzmieć fanfarą, to w jakich słowach wyrażać będziemy zapał dla prawdziwie nieśmiertelnego Moniuszki, który jest nieprzebraną skarbnicą melodyi, głębokiej, czystej jak kryształ, idealnie prosto wypowiedzianej i wyrazistej? Co się tyczy drobniejszych pieśni p. Noskowskiego, ostatnio zaprodukowanych, to są one niewątpliwie ładne, szlachetne w guście, ale się po nad poziom błysków przemijających nie wznoszą.

Teatr Wielki wykonał dwukrotnie, we wtorek i we środę, głośną *Messa da Requiem* Verdiego, z udziałem wielu amatorów płci obojga, zaproszonych dla wzmocnienia chórów. Jest to dzieło mające akurat tyle wspólnego z duchem religii, ile maniera włoska, świecko-pogańska ostatnich czasów z naiwnem namaszczeniem Palestriny w muzyce lub Giotta i Fra Angelica w malarstwie. Od początku do końca efekta operowe, w których słuchacz raz po raz przypomina sobie *Aidę*. Po prostu jest się w obawie, czy lada chwila nie nastąpi jaki koloraturowy popis sopranu. Lwia siła jednak z tej kompozycyi wyziera często. Wspaniała jest instrumentacya *Dies irae*, groźne i potężne *Solvet saeculum in favilla*, melodyjna i elegii pełna *Lacrymosa dies illa*. Wogóle ta część góruje nad innemi siłą i ekspresyą. Niepodobna odmówić oryginalności pomysłom w *Sanctus* i fudze *Libera me domine*. Za to napisane na tercet ofertorium wydaje się nam bardziej słabem. Bądź co bądź, dzieło to bogate w treść i kunsztowną formę, choć dla ucha na razie mało pochwytne. Wykonawcami, którzy stanęli na wysokości niełatwego bynajmniej zadania, byli przedewszystkiem p. Trombini jako dyrektor niezmiernie muzykalny i czujny, następnie p. Sillich, którego głos basów miewa chwile świetne, p. Prevost, atakujący nuty zbyt apoplektycznie, ale obdarzony głosem obfitym i świeżym oraz panie Weychertowa i Werthejsopran i Babińska, mezzo-sopran, śpiewaczki również niepowszednio uposażone. Chóry trzymały się wybornie, na orkiestrze znać pracę sumienną.

Środowi melomani z sal Redutowych darzyli niebywałym oklaskiem p. Zofię Poznańską z Wilna, uczenicę Rubinsteina, pianistkę mimo bardzo młode swoje lata niezwykle gruntownie i poważnie, po akademicku przygotowaną. Wykonaniem utworów swego mistrza, a także Czajkowskiego, Liszta, Szuberta zachwyciła publiczność. Specyaliści od muzyki i nawet zwykle dosyć przytomni, pokwapili się nazwać ją „genialną,“ mimo że dotąd właściwej indywidualności w wirtuozce nie znać, a tylko niezmiernie poważne, dojrzałe, wolne od efekciarstwa pojmowanie sztuki. Źródłem owej genialności jest tymczasem — jeśli się nie mylimy — estetyczna powierzchowność owego meteoru, tak zwykle magnetyczna dla siwiejących recenzentów.

R.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Emigracya.

Chociaż ten gwałtowny wylew ludności naszej, który zeszłego roku ogromnemi falami toczył się do Brazylii, został bądź zatamowany, bądź sam ustał, emigracya jednak do Ameryki — jak świadczą częste notatki *Dziennika warsz.* — trwa ciągle. Sprawa ta więc nie straciła dla nas swojej doniosłości i wszelkie objaśnienia, rzucające na nią światło, nie powinny mijać naszej uwagi. Jak wiadomo w roku ubiegłym podjęto nową wyprawę badawczą do Ameryki południowej. Otóż z członków tej wyprawy p. Hempel zaczął nadsyłać *Kuryerowi warsz.* swoje sprawozdania, które w znacznej mierze różnią się nie tylko od powierzchownych spostrzeżeń p. Dygasińskiego, ale nawet od gruntowniejszych opisów ks. Chełmickiego. W pierwszym liście p. H. zaznajamia nas z grupą kolonij, których ogniskiem jest St. Matheus — szybko powstające, całkiem nowe miasto. Początkowo osiedlili się tu hiszpanie, ale teraz prawie cały obwód zajęli polacy, których ogółem jest około 1,500 osób. Nadto w Curitybie czeka 2,000 wychodźców, którzy udadzą się do St. Matheus. Przyciąga ich głównie ta okoliczność, że zawiadowcą jednej z kolonij w tym okręgu jest niejaki Zaporski, „znany — jak twierdzi p. H. — ze swego bezgranicznego poświęcenia dla emigrantów.“ Zarówno tu, jak w S. Barbara, przybysze otrzymywali narzędzia, 20—30 litrów żyta, 10—20 litrów kartofli, prócz tego nasiona kapusty, buraków i sałaty. Najdokuczliwszym ich pasorzytem, gorszym

od pcheł i bakteryj żółtej febry, są t. z. wendyści, właściciele „lotów“ (działek) i handlarze, którzy zdzierają z nich skórę przy sprzedaży produktów żywności, podnosząc jej ceny nieraz o 100%. Szybko też emigrant traci wszystko, co przywiózł i wpada w długi. Są tacy, którzy nie otrzymali jeszcze kolonii, a już mają setki „milów“ długu. Skutkiem klimatu, skąpego odżywiania się i nadmiernej pracy ludność umiera dosyć licznie. Fatalne warunki stwarza dla niej zupełny bezład administracyjny, brak wszelkiej kontroli nad „wendystami“ oraz łupiestwo urzędników, którzy za regułę życia i działania przyjęli zasadę: „Wolę być złodziejem, niż osłem.“ Życzliwej opieki doznają jedynie osadnicy Iquassu, którym zarządza Zaporski. Gdyby zaś znalazły się żywioły inteligentne (doktorzy, aptekarze, księża itd.) opieka ta mogłaby być szerszą. P. Hempel zapewnia, że ludność, pozbywszy się dziecinnych mrzonek o raju brazylijskim, pracuje gorliwie i ciężko. Z pewną też słusznością wróżyć jej można kiedyś lepszą dolę.

Felczerzy.

Osobna komisya lekarska pracuje nad projektem ustawy o felczerach. Wiadomo dotychczas, że większość jej oświadczyła się za podniesieniem ich poziomu umysłowego. Ma być wymagane świadectwo 4 klas gimnazyalnych (dotąd 2), kurs nauki 3-letni (dotąd 2-letni), wreszcie 3-letnia praktyka szpitalna. Otóż przeciw zasadzie tej zmiany powstaje energicznie *Medycyna*. Według niej, dotychczasowa wiedza felczerów aż nadto im wystarcza jako „wykonawcom poleceń lekarza.“ Jeśli zaś otrzymają wyższą, to albo nie będą mogli jej spożytkować, albo zaczną grać rolę lekarzów, popełniając przytem błędy i nadużycia. „Połowiczne nauczanie medycyny płodzi tylko fuszerkę lekarską, której działalność felczerska jest czystej wody typem.“ Jeżeli dziś niepodobna sobie poradzić z felczerami, leczącymi pokątnie, to cóż dopiero mówić gdy oni posiądą trochę więcej nauki, obeznają się z zapisywaniem recept i używaniem narzędzi chirurgicznych, gdy zyskają szersze prawa i pretensye! *Medycyna* tedy radzi, aby nie powiększać wykształcenia felczerskiego i starać się o wytworzenie instytucyi opiekunów dla chorych (*gardes malades*). Dalej idzie jej korespondent, p. Krasuski, lekarz powiatu skierniewickiego, który przedstawiwszy całą szkodę działalności felczerów i całą trudność walki z nimi, powiada: „Proponuję raczej zamknięcie szkoły felczerów, nigdy zaś nie zgodzę się na podniesienie skali ich wykształcenia, uważając to ostatnie za najzgubniejszy środek w swych następstwach. Niepotrzeba nam wcale felczerów, wystarczą w zupełności ludzie, którzyby około chorych umieli chodzić i spełniać te posługi, jakie im lekarze wskazywać będą, a takich ludzi będą i mogą nam kształcić szpitale.“

Że felczerzy są plagą wsi i miasteczek prowincyonalnych — fakt to powszechnie stwierdzony i uznany. Czy jednakże można i należy ich wyrzucić bez zastąpienia jakimś lepszym równoważnikiem? Wątpimy. Chociażbyśmy bowiem nawet zgodzili się z *Medycyną*, że „liczba lekarzów jest u nas prawie wystarczającą“ (tylko w miastach), to jeszcze pozostaje kwestya, czy ona byłaby wystarczająca po usunięciu felczerów i czy wszyscy lekarze zechcieliby przyjąć na siebie ich obowiązki. Ale przypuśćmy, że pewną część wezmą (np. wyjmowanie zębów itp.), inną (stawianie baniek i pijawek) odstąpią „opiekunom chorych“ (*gardes malades*), trzeba jeszcze rozważyć stronę finansową. Lekarz na prowincyi, zwłaszcza lekarz przyjezdny, pobierający kilka rubli za wizytę, jest stanowczo za drogi dla naszego ludu i felczer pokonywa go we współzawodnictwie taniością porady. Jeżeli więc ten ostatni nie ma istnieć lub też nie być groźnym rywalem, musimy mu odjąć tę przewagę. Tymczasem ta ważna sprawa jest ciągle pomijana milczeniem. Same zakazy administracyjne nic tu nie pomogą. Gdy zbraknie felczerów, chłopi udawać się będą do znachorów, wróżek, owczarzów i t. p., którzy bynajmniej nie poprawią obecnego stanu rzeczy. We wszelkich pomysłach reformatorskich najbłędniejsza jest metoda wynajdywania kozłów ofiarnych, których obładowywa się wszystkimi grzechami. Dotychczas lekarz (nie myślimy o wyjątkach) jest dla ludu panem zbyt niedostępnym i zbyt kosztownym, wyprze on więc i zwycięży felczera wtedy jedynie, gdy stanie się doradcą popularniejszym i tańszym. Tę zmianę postępowania należałoby dopełnić nowym czynnikiem organizacyi wewnętrznej. Są lekarze powiatowi, miejscy, dlaczego nie ma gminnych, ustanowionych, równie jak poprzedni, nie wolą wyborczą, ale mocą obowiązku prawnego? Wtedy możnaby myśleć i mówić o usunięciu felczerów, których w posługach niższego rzędu zastąpiliby istotnie opiekunowie chorych. Gmina ma księdza, nauczyciela, wójta, sędziego, czyż to nie jest logiczne, że powinna posiadać również swego lekarza, który pozostaje dotąd tworem wyłącznie miejskim? *A.*

Dr. Władysław Frankowski.

Jakie to piękne i jakie wdzięczne pole pracy lekarskiej dla człowieka, który na niem zacnie działać umie! Dowodem chwała, jaka otacza d-ra Wł. Frankowskiego, którego Charków uczcił za 50 lat płodnych trudów obywatelstwem honorowem, a głos publiczności wyrazami wdzięczności i uznania. Między tytułami jego zasług nienajmniej zaszczytną jest nazwa „przyjaciela biednych.“ Zdobył on ją sobie jeszcze w r. 1849, gdy podczas szkorbutu ratował ludność, nie omijając chat i lepianek, nie cofając się przed najniższemi czynnościami felczerskiemi. Niech taki człowiek osiądzie na wsi, a wkrótce postawi sprawę leczenia ludu na właściwym gruncie i bez żadnej pomocy administracyjnej wyprze felczerów. Frankowski życiem swojem i osiągniętymi skutkami swej działalności najlepiej dowiódł tej starej a ciągle słusznej prawdy, że dobro społeczne więcej zależy od wartości ludzi, niż od zewnętrznych warunków ich życia.

Rachunek sumienia.

Czytelnicy przypominają sobie może z roku przeszłego publiczne akty oskarżenia przeciwko poprzedniemu zarządowi Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu a zwłaszcza przeciw jego b. dyrektorowi p. Radziszewskiemu, ogłoszone przez *Gazetę losowań* i p. Turskiego. Postawieni przed sądem opinii bronili się słabo, ale bronili się i zarzucali napaściom stronność, przekręcanie faktów i tendencyjność w wywodach. Ponieważ jednak — według przysłowia — gdzie jest dym, tam musi być ogień, więc wyznaczono delegacyę do sprawdzenia zarzutów, a nadewszystko do wzmocnienia podstawy zachwianego przedsięwzięcia. I oto przed tygodniem na zebraniu akcyonaryuszów nastąpił rachunek sumienia. P. Radziszewski zobowiązał się „dobrowolnie“ za nienależyte spełnianie obowiązków dyrektora zapłacić Towarzystwu 15,000 rs. Jego następca, p. Turski za swoje pretensye po zerwanym kontrakcie otrzymał 2,500 rs. i odstąpił od procesu. Z udzielonych a niepewnych zaliczek odzyskano 20,000 rs., a nadal postanowiono wydawać je ostrożniej, odejmując im charakter pożyczek. Pomijając inne rachunki, obrano sobie za przykład ministeryum włoskie i poczyniono znaczne oszczędności, dochodzące do 17,000 rs. Niemal każdy punkt tego sprawozdania był drażliwy, bo w każdym więcej tkwiło grzechów, niż zmieście się może szatanów na ostrzu szpilki. Ale zażegnywana burza wybuchnęła przy wniosku, ażeby Towarzystwo, na wzór podobnego Rowelskiego, pozbyło się akcyonaryuszów „postronnych“ (nieprodukujących okowity), przedstawiających kapitał 50,000 rs., którzy „woleliby, aby ono albo upadło, albo głównie myślało o dywidendzie.“ To posądzenie, które przewijało się czarną nicią przez wszystkie artykuły broniące dawnej gospodarki, wypowiedziane teraz w sprawozdaniu i powtórzone wobec uczestników, wywołało ze strony dotkniętych niem zgrozę. Ostatecznie dzięki wpływom łagodzącym spór rozwiązał się pojednawczo.

Nie wchodząc w zasadność insynuacyi, pomawiającej „postronnych“ uczestników Towarzystwa o działanie na jego zgubę, przypuszczając nawet, że ona jest w obecnym wypadku pozbawiona wszelkiej podstawy, nie możemy odmówić ani słuszności, ani praktycznego rozumu gorzelnikom, żądającym, ażeby spółka, obejmująca interesy ich produkcyi, składała się z nich samych, bez przymieszki innych żywiołów. Czy mielibyśmy za złe szewcom lub ślusarzom, gdyby oni założywszy podobne Towarzystwo, nie chcieli do niego dopuścić garbarzów lub cieślów? Dążnością naszych czasów jest tworzenie „pierścieni“ przemysłowych, nic więc dziwnego, że ona przejawia się również śród producentów okowity. Można „trusty“ i „ringi“ sądzić, jak się komu podoba, ale trzeba przyznać, że ostatnie z ogniw mają swoje uzasadnienie w innych tego samego łańcucha. Kto godzi się na jedno, musi zgodzić się na inne. Jeżeli więc gorzelnicy z Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu wykurzą niegorzelników, postąpią najzupełniej w duchu czasu i nikt nie będzie mógł rzucić na nich kamieniem. *W.*

Skutek oszczędności.

Niemcy powiadają, że „co za tanie, to za drogie.“ Przekonała się o tem kolej Nadwiślańska. Iskry z jej lokomotyw, opalanych lichym węglem, wznieciły w ciągu tygodnia na torze aż pięć pożarów. Największy zniszczył kilkanaście morgów lasu pod Jabłonną. Nadto zgorzały kawały lasu (pod Iwangrodem i Nową Aleksandryą), łąki (pod Kremplem) i budka dróżnika. Z początku usiłowano zwalić winę na maszynistów, jakoby nieostrożnie przedmuchujących kominy; okazało się jednak, że sprawcą pożarów jest tani węgiel, który będzie kosztował kolej zbyt drogo, gdyż za spalone lasy musi ona zapłacić. Na domiar złego twórca systemu „oszczędności,“ Halpert, już nie żyje. On z pewnością pokryłby te straty nowemi oszczędnościami. Duch jego musi smutnie patrzeć na te zbytki i żałować, że nie może, pomimo istnienia spirytystów, wmieszać się do tej sprawy czynnie. Nie pozostaje więc nic innego, jak przeniewierzyć się jego przykazaniom i kupować lepszy węgiel. Lokomotywy drogi Nadwiślańskiej będą miały mniej wspaniałe warkocze, ale za to bezpieczniejsze i w rezultacie tańsze. *K.*

Stęplowanie trumien.

P. prezydent Warszawy wydał nader słuszne rozporządzenie, ażeby trumny metalowe, częstokroć wyrabiane z cienkiej blachy, o ile są przeznaczone do przechowywania ciał w grobach otwieranych, ulegały rewizyi i ostęplowaniu. Zadanie to przyjął na siebie cech blacharski, który miał z łona swego wyznaczać majstrów do badania i zaopatrywania trumien odpowiednimi znakami. Ponieważ czynność ta ma być wynagradzana ceną 2 rs., więc starszy cechu a zarazem fabrykant trumien zmonopolizował ją w swoich rękach, zapewniając sobie tym sposobem podwójny a bardzo znaczny dochód: z opłat i sprzedaży. Naturalnie nie podobało się to jego towarzyszom i współzawodnikom, którzy podali zbiorową skargę do prezydenta i przenieśli swe pretensye na stronice dzienników. Byłoby rzeczą najbardziej pożądaną, ażeby panowie blacharze wyrabiali trumny trwa-

łe i nie narażali ludzi na duży podatek oględzinowy, ale jeżeli fuszerka ma zatrzymać nadal racyę swego bytu, niechże przynajmniej opłata za usuwanie jej nie spływa do jednej kieszeni. W zamian za to niech korzystający z niej pomyślą nad tem, że wcale nie jest dla nich zaszczytnem to urzędowe stwierdzenie tandety i że każdy stępel wybity na trumnie jest piętnem niesławy odciśniętem na ich kunszcie. *T.*

Domy warszawskie.

W ostatnich czasach prasa zaczęła zaglądać do kieszeni kamieniczników warszawskich i u wielu znalazła płótno, a na hypotece wysokie cyfry długów. Stąd powstały alarmy, przepowiednie bankructwa zbiorowego, słowem — jak... w rolnictwie. Na ten ogień wzniecony w opinii publicznej z krzywdą właścicieli nieruchomości, p. Trąmpszyński ze szpalt *Tygodnika kolejowego* skierował sikawkę i „umiejscowił“ klęskę ograniczając ją do garstki istotnych bankrutów, którzy swą ruinę spowodowali niebaczną spekulacyą i życiem nad stan. „Wadą to już całego społeczeństwa — ubolewa p. T. — że rolnicy, których stać bodaj na trzy włóki, odrazu kupują trzydzieści, że kupcy wydają na lokal i podatki więcej, niż wynosi cały ich kapitał zakładowy, że przedsiębiorcy, mogący ledwie kupić plac i postawić parterowy domek, rzucają się na cztero-piętrowe gmachy, te wreszcie nabywają *finansiści*, których kapitały nie zawsze na parterowy domek mogłyby starczyć.“ Ruch budowlany rozwinięty silnie od roku przeszłego i zapowiadający również ożywienie w sezonie bieżącym nie powinien swą gorączką przyczynić się do wyniszczenia materyalnego nowych właścicieli, gdyż, jak wyjaśnia p. T., wszystkie nowo powstałe gmachy są wolne od podatku przez całe pięciolecie od czasu każdorazowej „lustracyi“ (z wyjątkiem kwaterunkowego). Ktoś np. przystępując na wiosnę r. b. do budowy domu, ma przywilej niepłacenia podatku (15%) jeszcze 3½ lata. Jeżeli stawia kamienicę z przeciętnym obrotem 10,000 rs., to proste obliczenie wykaże, iż na czysto mu zostaje 5.250 rubli. Kamienicznik zatem warszawski jest w warunkach o wiele korzystniejszych, niż np. wiedeński. W stolicy austryackiej podatek od dochodu brutto wynosi 48% (u nas 15%), ceny materyału i placów nie są niższe, aniżeli tu, budowa zaś utrudniona wszechwładną antrepryzą. Pomimo to interesy kamieniczników wiedeńskich są wyborne, lepsze niż warszawskich. Czy jednak ogół tutejszych ma powód do narzekania? P. Trąmpczyński wylicza szczegółowo, iż kamienica w lepszych dzielnicach po potrąceniu wszelkich kosztów tudzież amortyzacyi pożyczki daje czystego dochodu 10—12%. Wobec tego słuszną robi uwagę, iż nie potrzeba uciekać się wcale do fuszerki, używania mokrego drzewa, lichej cegły itd.

O ile wiemy, pogłoski o złym stanie interesów kamieniczników warszawskich wyszły z ich własnego łona, a więc nasuwa się bardzo prawdopodobne przypuszczenie: właściciele domów istniejących starają się wszelkimi sposobami wpłynąć na ograniczenie ruchu budowlanego, gdyż wzrost liczebny domów może zniżyć cenę mieszkań i pobudzić do staranniejszego ich urządzenia. Narzekanie zaś na ciężkie czasy, na złe interesy — jest to środek rozrzewniający lokatorów przy targach o komorne. Nas nie smuci, lecz przeciwnie— cieszy gorączka budowlana, gdyż (o ile nie jest połączona z fuszerką) wpłynie ona korzystnie na interesy mieszkańców i ułatwi poniekąd sprawę względnie tanich i dogodnych lokalów. *Zn.*

Walka z pokątnem doradztwem.

Bezsilne wyrzekanie na szkodliwą działalność pokątnych doradców zaczyna ustępować miejsca środkom, przedsięwziętym w praktyce. Jeszcze przed paru miesiącami adwokaci przysięgli w Siedlcach wypowiedzieli walkę tym bandytom, obdzierającym ludność ubogą i ciemną. Dali oni sobie „słowo honoru,“ iż nie będą przyjmowali żadnych spraw od obrońców prywatnych (przy instytucyach pokojowych), pisarzów gminnych, pokątnych doradców i faktorów. Postanowili natomiast porozumiewać się wprost ze stroną, lub osobą trzecią, darmo wyręczającą stronę, albo upełnomocnioną płatnie (rządca dóbr, domu itd.). Kolega, niedotrzymujący tego zobowiązania, zagrożony jest usunięciem ze stosunków towarzyskich i koleżeńskich. Niezależnie od tego adwokaci związani solidarnością złożyli prezesowi sądu okręgowego i policmajstrowi m. Siedlec listę pokątnych doradców. Gdyby taka solidarność adwokatów rozszerzyła się na kraj cały, działalność rabusiów pokątnych byłaby w znacznej mierze skrępowaną. Obok zwykłych doradców szynkowych, oszustów, naławiających do pieniactwa są wielce szkodliwi bardzo obrotni pośrednicy, którzy zajmują się wyłącznie cesyą spraw spornych. Zwykle na znacznej przestrzeni danej okolicy ściągają oni sprawy i oddają je hurtownie adwokatowi. Pośrednictwo takie, rzecz prosta, musi być suto opłacane przez osoby procesujące się, jak również przez adwokata, który sobie zjednywa dostarczyciela spraw. Tym sposobem pośrednictwo sądowe pociąga za sobą takie same skutki, jak w handlu: wychodzi najlepiej przedsiębiorca lub procederzysta kosztem klientów. W tym razie władza przychodzi z pomocą obrońcom przysięgłym z wyjątkiem naturalnie tych, którzy zatraciwszy wszelkie poczucie etyki (mówiąc delikatnie), ciągnęli niezłe zyski z hurtownego obrabiania spraw. Mianowicie — minister sprawiedliwości wniósł do rady państwa projekt przepisów nakładania kary na pośredników, nabywających ryczałtowo sprawy sporne. O wiele trudniejszą jest walka z obrońcami prywatnymi, działającymi legalnie. Klientela ich zwykle się rekrutuje z warstw ubogich ciemnych, najłatwiej dających się otumaniać i wyzyskiwać. Gdy sprawa jest nad siły takiego obrońcy, udaje się on do adwokata przysięgłego jako pośrednik, przedstawiwszy zaś rzecz niejasno lub mylnie, często wyświadcza stronie niedźwiedzią usługę. Jedyną radą byłoby w tych razach umiejętne współzawodnictwo obrońców przysięgłych z prywatnymi, to jest niepogardzanie sprawami drobnemi, „nieopłacającemi się.“ Ta swego rodzaju duma, czyli „szanowanie się“ obrońców przysięgłych najjaskrawiej występuje na prowincyi. W Warszawie — przeciwnie, już tylko grube ryby są niedostępne dla tłumów; większość zaś adwokatów przysięgłych nie gardzi sprawami najdrobniejszemi w sądach pokoju, a nawet gminnych w okolicach podmiejskich. Dzięki temu skutki pokątnego doradztwa nie są tutaj tak dalece widoczne, jak na głębokiej prowincyi. W ostatnich dniach władza zwróciła baczniejszą uwagę na działaczów pokątnych i skrępowała ich surową kontrolą. *Drog.*

OBJAŚNIENIE.

Warszawskij Dniewnik pisze: „Donosząc o zamierzonych w guberniach naszego kraju robotach publicznych, w celu dania zarobku miejscowej, potrzebującej ludności, mieliśmy już sposobność zauważenia, że zagraniczna prasa polska rozpowszechniła pogłoskę, iż do wykonania tych robót będą sprowadzeni robotnicy z wewnętrznych, dotkniętych nieurodzajem gubernij państwa. Pogłoska ta, o ile nam wiadomo, przedostała się i do tutejszego społeczeństwa. Nie należy zwrócić uwagę ludzi, straszących ludność kraju Nadwiślańskiego, grożącą mu jakoby konkurencyą robotników ruskich, których, wogóle mówiąc, do kraju tutejszego przybywa niewielu, na tłumy robotników, przychodzących tu corocznie z Prus i Austryi. Napływ robotników cudzoziemskich do kraju tutejszego z każdym rokiem się zmniejsza, a przybywający ostatniemi laty robotnicy ruscy zabierają miejsce nie polakom, lecz niemcom. Pomimo takiego ograniczenia napływu robotników zagranicznych, z każdą wiosną przybywa ich pokaźna liczba do kraju Nadwiślańskiego. Dowiedzieliśmy się z wiarogodnego źródła, że przez sam tylko punkt pograniczny w Aleksandrowie przeszło z Prus w styczniu r. b. 16 ludzi, w lutym—21, a w pierwszej połowie marca już 89. Całe tłumy robotników przychodzą co roku wiosną z Galicyi przez przykomórek celny w Szycach (w gubernii kieleckiej). Robotnicy ci po części udają się do Nowego Dworu i innych miast, położonych nad Wisłą i najmują się na tratwy, po części zaś udają się do obywateli do robót w polu. Rząd przedsiewziął zależne od niego kroki, aby przyjść w pomoc będącej w potrzebie ludności naszego kraju, a cóż zrobiło społeczeństwo miejscowe? W oddziale warszawskim „Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu“ postawiony został projekt, ażeby obywatele przedsiewzięli szereg robót melioracyjnych, dla nastręczenia ludności będącej w potrzebie zarobków, ale o tego rodzaju robotach nic nie słychać i prawdopodobnie projekt ten nie wyjdzie ze sfery dobrych zamiarów. Ale, jeżeli obywatele nie mogą się zdecydować na to, ażeby przez rozpoczęcie robót melioracyjnych dać sposobność zarobkowania potrzebującej części ludności, to niechaj chociaż nie sprowadzają robotników zagranicznych i dają zajęcie miejscowym, lecz nie cudzoziemcom. Członkowie zaś warszawskiego „oddziału Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu“ i polscy publicyści, ubolewający w słowach nad dolą robotników w naszym kraju, przynieśliby ludności roboczej więcej korzyści, gdyby mniej zużywali słów żalu, kiedy jest mowa o tutejszych robotnikach, natomiast zaś wpłynęli na obywateli, kupców leśnych i fabrykantów, ażeby ci nie sprowadzali robotników z zagranicy.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

SZEWC GALICYJSKI.

(Dokończenie).

Odwróćmy się od tego posępnego widoku i skierujmy wzrok w inną stronę — w dziedzinę rękodzielnictwa szewckiego. Na pniu jego wyrosła w ostatnich czasach osobna gałąź, poświęcona wyrobom cholewek a zatrudniająca w Krakowie 20 przedsiębiorstw. W 1860 r. wkroczyła do szewctwa maszyna do szycia, która po zaprowadzeniu w niem wielkich zmian, przeistoczyła podział pracy i nawet kobietę do warsztatu zapędziła, oddając jej stembnowanie cholewek z delikatniejszej skóry. System zarobkowy przybiera inną formę i równocześnie zaczynają czeladnicy porzucać mieszkania swych majstrów. Trzeba zresztą przyznać tym ostatnim, że postępują żółwim krokiem przy wprowadzaniu maszyn do szycia; inne zaś udoskonalenia pozostają im nieznane, pomimo że niektóre z nich mają na celu wyłącznie polepszenie warunków hygienicznych. Ot np. maszyna, która pozwala szewcowi pracować stojąc. Ażeby pojąć doniosłe znaczenie tej innowacyi, należy pamiętać, że 67% szewców choruje na żołądek od ciągłego siedzenia, a wskutek zgiętej postawy przy pracy 60% umiera na tuberkuły. Wskutek braku udoskonalonych i skomplikowanych narzędzi oddaje przedsiębiorca robotę często majstrowi do domu; ten wykończa ją po partacku, a pomimo to w berlińskiej fabryce kosztuje para butów męzkich tylko 7 m. 65 f., gdy para swojskiego wyrobu galicyjskiego wynosi w wa-

lucie niemieckiej aż 10 marek. Na domiar złego w r. 1881 wśród huraganu klątew, złorzeczeń i szykan powstają magazyny obuwia fabrycznego. Szerząc postrach i obawę w szeregach majstrów i rzeczników ich interesów, zmusiły one nie tylko taniością towaru, ale wielkim wyborem obuwia gotowego zamożniejszych szewców, w względnym swoim dobrobycie zagrożonych, do naśladowania niebezpiecznych konkurentów i urządzania składów własnych na wzór wielkich magazynów. Nic dziwnego, że drobny majsterek, pracując dalej bez czeladnika i terminatora 14—15 godzin dziennie, w najlepszych warunkach nie jest w stanie zarobić więcej nad 332 złr. rocznie. W ten więc sposób klasa rzemieślnicza, niegdyś dosyć silnie duchowo zespolona, obecnie coraz więcej się różniczkuje. Majster i czeladnik, związani węzłami sympatyi, jadali z jednej miski, spali w jednym pokoju i pracowali przy jednym stole. Nie rozdzielał ich mur chiński, gdyż czeladnik zapatrywał się na położenie swoje, jako na czasowe, a na swego pryncypała, jako na przyszłego kolegę. Ale oto klasa czeladnicza zaczęła wzrastać. Wskutek rozwoju specyalizacyi, nagromadzenia kapitałów i rozkwitu gospodarstwa wymiennego, stanowisko majstra stało się więcej niedostępnem dla czeladnika. Majstrowie jęli skwapliwie obwarowywać swe wyżyny olimpijskie uciążliwymi dla czeladników regulaminami. Szewctwo, co prawda, należało do tych zawodów, w których bolesny ten rozwój odbywał się krokiem powolniejszym. Do r. 1848 patryarchalny stosunek do czeladników zachował się w zupełności. Od tego roku datuje się początek ich emancypacyi, aż nareszcie począwszy od r. 1855 pozostaje im tylko wspólne z majstrem mieszkanie, a od r. 1860, co dawniej było zjawiskiem wyjątkowem, spotykamy już czeladników żonatych, tj. takich, którzy postanowili z rezygnacyą do końca życia nosić obrożę czeladniczą. Maszyna silniej jeszcze uwydatniła nieubłagany kierunek rozwoju, wstrząsnąwszy, jak Samson, spruchniałemi podstawami tradycyi rzemieślniczej, powagą cechów, majstersztykami i t. d. Łatwo zrozumieć, że w obecnych warunkach szczupła tylko garstka czeladników, zaniechawszy związków małżeńskich i wyrzekłszy się najniezbędniejszych potrzeb, jest w stanie uzbierać w pończosze, chowanej w tapczanie, maleńki kapitalik, niezbędny do wspięcia się na szczyt hierarchii rzemieślniczej, by sięgnąć po berło majstra, które wreszcie prócz tytułu prawie nic nie daje. Można z góry powiedzieć, że najskrupulatniejsze przestrzeganie klechowskiej recepty Maltusa okaże się środkiem płonnym, gdyż z pewnością 200 z tych nieboraków może śmiało wziąć rozbrat z nadzieją polepszenia swego bytu.

Jakaż jest ta płaca zarobkowa, z której musi się wyżywić czeladnik wraz ze swoją rodziną? O ile można sądzić z odpowiedzi, nadesłanych na kwestyonaryusz p. Paygerta, przewyższa ona cokolwiek w 15-u miejscowościach płacę najmity zwyczajnego, a w 7 okręgach nie dorównywa jej nawet (jak np. w Krakowie). Szczególnie licho są płatne w szewctwie kobiety, których zarobek wynosi cokolwiek więcej, niż połowa męzkiego; w Krakowie np. nie przewyższa on 2 złr. 50 cent. w porównaniu z 4 złr. mężczyzn. Jeżeli zaś zestawimy płacę czeladników szewckich innych krajów z Galicyą, to okaże się, że w kraju tym jest ona najmniejszą. W Berlinie np. otrzymuje czeladnik na pieniądze austryackie od 6 do 12 złr., gdy galicyjski musi się zadowolić 2,40—8 reńskimi. Szczególnie zaczęła tu płaca zarobkowa zniżać się poczynając od pamiętnego roku 1880, tj. od daty spotęgowania się konkurencyi fabrycznej: od tego czasu zmalała ona o 10%. Tyle można powiedzieć o nominalnej płacy zarobkowej. Zauważymy, że już od czasów Adama Smitha odróżnia ekonomia polityczna płacę nominalną od realnej. Nominalna jest to cena siły roboczej wyrażona w pieniądzach, a realna — w ilości produktów, którą może otrzymać za nie robotnik. Jeszcze jaskrawiej właśnie występuje opłakany stan czeladnika szewckiego w Galicyi, jeżeli porównać jego realną płacę z takąż płacą zaatlantyckiego jego kolegi, który otrzymuje przeciętnie 8 razy większe wynagrodzenie, pomimo że produkty spożywcze kosztują w Ameryce niewiele drożej, niż w Galicyi. Stoimy wobec faktu, który naprowadza nas na bardzo smutne wnioski. Sam dr. Paygert nawet po obliczeniu budżetu średnio uzdolnionego czeladnika w podrzędnym warsztacie wyznaje z bólem serca, że go na uciułanie kapitaliku nie stać i mówi to ten sam p. Paygert, który wygłasza tyrady na temat oszczędności, łącząc je z umizgami w stronę „pończochy,“ tyrady, zaczerpnięte z wysychającej krynicy myśli swych mistrzów. Cóż ma począć wobec takich rad czeladnik, który otrzymuje tygodniowo 4 złr., 3,60 albo nawet 2,40? Rozumie się, niektórzy mogą skurczyć swoje potrzeby do tego stopnia, aby po długim szeregu lat dorobić się sumki, która by im starczyła na wpis do cechu; reszta zaś powiększa na starość liczbę „łataczów,“ uprawiających potajemnie rzemiosło dla uniknięcia podatku. Bosonoga armia, owa pięta Achillesowa produkcyi kapitalistycznej, wzrasta i tutaj wślad za nagromadzeniem się kapitałów. Oprócz tego, suma, wystarczająca na założenie warsztatu i sklepu, jest obecnie o wiele znaczniejsza, niż w 50 latach i dla tego tylko wyjątkowi ulubieńcy fortuny mogą w 30-m lub 40-m roku zapisać się do szanownego grona zbieraczy wartości dodatkowej. Weźmy np. człowieka, który pracuje 24 lata jako starszy czeladnik w pierwszorzędnym interesie lwowskim. Otóż utrzymanie rodziny, składającej się z 4-ch osób, zdobywa on i jego córka pracą, która razem daje zarobek, wynoszący 8 złr. 50 kop. i pomimo że na śniadanie rodzice jedzą chleb z solą, popijając kieliszkiem wódki, a dzieci $^1/_6$ litra mleka — pozostaje im na zabawę niedzielną całkiem 30 centów. A co począć w razie choroby? Gdyby mnie ktoś z tej rodziny zaczepił takiem pytaniem, wskazałbym mu pończoszkę, wiszącą na sztandarze p. Paygerta. Jeszcze gorzej dzieje się z czeladnikami żonatymi w Krakowie, pomiędzy którymi bardzo niewielu dwa razy na tydzień je mięso. Najsmutniejszą atoli jest dola czeladników żonatych na prowincyi, których żony pracują po za obrębem domu, jako robotnice, służące, praczki itd. Ci nawet nie mogą się wyżywić, gdyż nie tylko mięso, ale nawet mleko i mąka pszenna jest dla nich zbytkiem. Pozostają więc jedynie kartofle. Ideał, który prześwieca im przez mgłę przyszłości jest: „Kartoffeln in der Früh — zu Mittag in der Brüh — des Abends mitsammt dem Kleid-Kartoffeln in in Ewigkeit — jak powiadają robotnicy w fabrykach zabawek w Turyngii (Sax. *Die Hausindustrie in Thüringen* I, 1882 str. 39). Stosunki patryarchalne zachowały się w rękodzielnictwie szewckiem jedynie względem terminatorów, którzy dotychczas mieszkają u majstrów. P. Paygert utrzymuje, iż nie zdołał nigdzie dostrzedz zbytniego przeładowania warsztatów terminatorami i zapewnia o ich serdecznem traktowaniu. Podobnie jak płaca i pożywienie szewców galicyjskich — w opłakanym stanie znajdują się także ich mieszkania. W Krakowie i Lwowie, podług autora, wiele rodzin, które nadto odnajmują jeszcze różne kąty swych ciup, mieści się w piwnicach (?). W Brodach, Krakowie i Lwowie współsąsiadują w jednym pokoju 2 nawet 3 rodziny czeladnicze. Trudno sobie wyobrazić tę olbrzymią nędzę, ten brud, ten wszelki brak warunków zdrowotnych! Znośniejsze są suterony, chociaż i tutaj sypia często w jednym pokoju 15—15 osób. To samo dzieje się w Krakowie z tą różnicą, że suterenę zastępuje poddasze. Nic dziwnego, że wobec takich warunków mieszkalnych opiewana i wysławiana przez autora pod niebiosa moralność szewców zaczyna w ostatnich czasach słabnąć. Składa się na to i ta okoliczność, że, jak wiemy, osiągnięcie godności majstra staje się coraz trudniejsze, a stanowisko czeladnika nie daje gwarancyi utrzymania, wskutek czego wdrożyły się w życie szewctwa galicyjskiego konkubinaty.

H. Forszteter.

UBEZPIECZENIE PLONÓW ROLNYCH.

W roku przeszłym pisano u nas pobieżnie o bardzo ważnym dla rolnictwa projekcie p. Grassa — ubezpieczeniu plonów rolnych od klęsk żywiołowych. Obecnie autor rozwinął szeroko swój pomysł w dziele, wydanem w Kazaniu*). Projekt w zasadzie jest bardzo racyonalny i gdyby nie napotkał ważnych przeszkód w praktyce, mógłby istotnie usunąć wiele klęsk, zależnych od kaprysów natury. Autor za normę ryzyka do ubezpieczenia bierze nie urodzaj przeciętny, lecz $^2/_3$ przeciętnego. Rolnik otrzyma wynagrodzenie tylko w takim razie, jeżeli plon osiągnięty da mniej niż $^2/_3$ urodzaju średniego; sumę opłaconych strat, stanowi różnica pomiędzy tymi dwoma rezultatami. Oto przykład: w danym majątku przeciętny urodzaj żyta wynosi 6 ziaren. Gdyby zatem właściciel zebrał tylko cztery czetw. z dziesięciny, to wynagrodzenia nie otrzyma, gdyż plon taki stanowi właśnie $^2/_3$ urodzaju przeciętnego. Dopiero, gdy zbierze 3 albo 2 ziarna, może pozyskać jako wynagrodzenie różnicę pomiędzy 3 lub 2 a 4-ma ziarnami, dającemi $^2/_3$ urodzaju przeciętnego. Wynagrodzenie powinno być wypłacane podług cen z góry określonych, w stosunku do wysokości składki asekuracyjnej. Taryfy najniższe obliczono dla gub. północnych i środkowych, gdzie urodzaje są najstalsze, dla gub. zaś południowych i wschodnich — najwyższe, gdyż tam wysokość plonów najbardziej jest chwiejną. Ubezpieczane być mogą zasiewy wyraźnie nie uszkodzone. Plony na gruntach źle uprawionych nie będą wcale przyjmowane do ubezpieczania. Tym sposobem instytucya asekuracyjna może zastrzegać sobie, iż nie odpowiada za część ryzyka, zależnego nie od żywiołów, lecz od niegospodarności rolnika. Otóż ubezpieczający się może oczekiwać wynagrodzenia strat tylko w razie klęsk żywiołowych, jak: mrozy, grady, ulewy, nieustanne deszcze, susze, rdza, szarańcza itd.

Taka mniej więcej zasada jest przyjęta we wszelkich innych rodzajach ubezpieczeń. Tylko czy się da ona zastosować w praktyce? Innym wpływom podlega rolnictwo np. w Królestwie Polskiem, innym w prowincyach północnych lub stepowych. Odpowiednio zatem do warunków danego obszaru należałoby sposób ubezpieczeń zmieniać. Zwróćmy uwagę na inne zasadnicze względy, które mogą stanąć na przeszkodzie szerokiemu pomysłowi p. Grassa. Przedewszystkiem strona techniczna. Przed wprowadzeniem instytucyi dla ubezpieczeń plonów należałoby przeprowadzić bardzo szczegółowe badanie statystyczne, oparte na długoletnich, stałych spostrzeżeniach. Autor miał to na myśli, zaopatrując swoją książkę w tablice, wykazujące szczegóły o urodzajach (od r. 1857), zebrane przez władze rządowe, administracyjne, tudzież osoby prywatne. Są w niej także wywody o urodzajach głównych gatunków zboża. Oddzielne tablice dają pojęcie o plonach na gruntach włościańskich i dworskich, wreszcie kartogram wskazuje prowincye Rosyi o jednostajnej przeciętnej zmienności uro-

*) „Ubezpieczenia zasiewów od nieurodzajów.“ Kazań, 1892 r.

dzajów. Wszystko to przedstawia ciekawy materyał i daje w pewnej mierze ogólne pojęcie o warunkach plonów rolnych; nie stanowi atoli ciągłości i nie może być rękojmią dla instytucyi ubezpieczającej pojedyncze gospodarstwa. Podstawą dla obliczeń przeciętnego urodzaju w danym majątku powinny być koniecznie księgi gospodarskie, prowadzone systematycznie, porządnie i jasno. Gdzież się to znajdzie? Na palcach takie gospodarstwa wyliczyć można, które do cyfr wagę przywiązują. Większość rachunki swoje rozprasza na świstkach, których najbieglejszy buchalter nie mógłby uporządkować. Zresztą w najlepszym razie nie zawierają one danych najpotrzebniejszych przy obliczeniach asekuracyjnych. Czy znaczna chwiejność cen zboża w różnych porach roku nie będzie przeszkodą i zniechęceniem dla ubezpieczających się — to także pytanie bardzo ważne. Obok tych nasuwają się inne szkopuły: Jak trzeba będzie radzić przy obliczaniu urodzaju normalnego? Czy przyjąć zasadę ogólną dla danego obszaru, czy też uwzględniać pojedyncze gospodarstwa? Wiadomo, iż każdy prawie majątek stanowi oddzielny typ gospodarstwa. W jednym kultura może być wyższa, w drugim niższa, jeden będzie miał grunt lichy a kulturę wysoką, drugi — odwrotnie, wreszcie jeden majątek większy może mieć różnorodne warunki, wpływające na plenność. Trzeba więc byłoby obmyśleć drobiazgową taryfę, uwzględniającą różne rodzaje gruntów i stopnie kultury. Jest to rzecz możliwa i poniekąd przewidziana, ale pociągnie ona za sobą bardzo złożoną i zawiłą czynność. Zachodzi jeszcze ważna okoliczność, która podziała na samą organizacyę ubezpieczeń. Pomimo ulepszeń kulturalnych i staranności mogą zwiększyć ryzyko warunki topograficzne i klimatyczne danej przestrzeni kraju. Jeżeli więc instytucya ubezpieczająca zechce przeciwdziałać stratom warunkami dla siebie wygodnymi — nie zgodzą się na nie wytwórcy rolni. O to właśnie opiera się forma przyszłej instytucyi. Ze wszechmiar korzystną byłaby ogólna państwowa. Tego atoli oczekiwać nie można. Pozostaje więc obszerne pole do działania towarzystwom prywatnym, ale rzeczą jest wątpliwą, czy wobec ogromu zadania odpowiedzą one celowi. Ze względu na różnorodność warunków możeby najwłaściwsze było utworzenie oddzielnych towarzystw (przypuśćmy — na wzajemności opartych) dla każdego obszaru kraju, posiadającego w pewnych granicach jednolitość warunków gospodarstwa rolnego. Ponieważ zazwyczaj klęski żywiołowe rozpościerają się na większych przestrzeniach, Towarzystwo takie, działające oddzielnie, mogłoby po kilkotygodniowej suszy, ulewach, lub przejściu szarańczy w obrębie swej działalności — uledz odrazu bankructwu. Taki wypadek powinien łączyć wspólną nicią interesu wszystkie towarzystwa, działające odrębnie w ubezpieczeniu.

Jak widzimy, trudności są niełatwe do pokonania; nie idzie atoli zatem, iżby ogół rolników nie mógł kiedyś się doczekać ubezpieczenia swych plonów, tembardziej, że organizacya taka istnieje i rozwija się za granicą, projekt więc p. Grassa nie jest żadną hypotezą. Wymaga on tylko bardzo starannych przygotowań wstępnych, a później może nawet utworzenia na próbę jednego lub paru towarzystw, zanim w całem państwie się rozwiną. Nie mówiąc już o doniosłym warunku — ubezpieczeniu plonów, instytucye takie miałyby jeszcze inne ważne znaczenie: zmusiłyby do wprowadzania ładu w rachunkach tudzież sprawności w obrachowaniach zbioru. Wreszcie zastrzeżenie, iż towarzystwo nie odpowiada za część ryzyka, zależnego od niegospodarności rolnika i że plonów na gruntach źle uprawionych nie przyjmuje wcale do ubezpieczenia — może być bodźcem do podniesienia kultury rolnej. *Zen. P.*

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Wyroby pończosznicze. Według doniesienia *Dziennika łódzkiego*, popyt na wyroby pończosznicze od kilku miesięcy wzrósł znacznie w Łodzi. Powodem tego jest podobno bardzo pochlebne zdanie handlarzy, że towar tamtejszy należy do najtrwalszych i najgustowniejszych. Organ miejscowy spodziewa się, iż w niedalekiej przyszłości tego rodzaju wyroby obce będą zupełnie wyparte z głównego rynku zbytu w kraju. Niektórzy fabrykanci, korzystając z przyjaznych warunków, rozszerzyli znacznie produkcyę tego przedmiotu.

Nowe taryfy. Od 13 marca r. b. obowiązuje w Królestwie Polskiem nowa taryfa miejscowa, zastosowana na kolejach: Wiedeńskiej, Terespolskiej, Nadwiślańskiej, Iwangrodzko-Dąbrowskiej, Siedlecko-Małkińskiej, Brzesko-Chełmskiej i Łódzkiej. W dziale osobowym nie różni się ona od poprzedniej; w zastosowaniu zaś do przewozu towarów są pewne zmiany. Wprowadzono dwie nowe normy opłat: $^1/_{15}$ kop. od puda — wiorsty dla towarów klasy II (nowej klasyfikacyi) i $^1/_{36}$ kop. dla przedmiotów klasy VI. Tym sposobem zamiast poprzednich pięciu rodzajów opłat nowa taryfa wprowadza siedem. W opłatach dodatkowych są również zmiany. Zamiast pobieranej poprzednio jednej kopiejki od puda za przeładowanie, oznaczono tylko 0,33 kop. Podniesiono natomiast opłatę za wydatki stacyjne z tego powodu, iż dawniej uiszczano je tylko w razie, jeżeli naładowywanie odbywało się kosztem interesanta; obecnie pobierana jest za wszystkie bez wyjątku towary w rozmiarach ogólnych 0,7 kop. od puda. Dla niektórych towarów (różne gatunki drzewa w belkach, cegła, ruda żelazna, cynkowa, ołów), przewożonych całymi wagonami, opłatę zniżono do 0,4 kop. od puda. Na wszystkich kolejach, z wyjątkiem Wiedeńskiej, jako dodatkową opłatę oznaczono $^1/_5$ kop. od puda towarów, wwożonych na stacye kolejowe. Od tego ciężaru wolne są jednak przedmioty, wysyłane za frachtem pospiesznym, artykuły spożywcze, zwierzęta i ptactwo, materyały opałowe, budowlane, przewożone całymi wagonami i wogóle towary ubezpieczone kosztem interesanta. Opłata powyższa wymagana jest jako zwrot kolejom kosztów na urządzenie budowli, chroniących towary od zepsucia i pobierana będzie do czasu umorzenia tych kosztów. Za przeładowanie towarów z kolei wązko na szerokotorowe liczy się 0,33 kop. od puda. Opłaty dodatkowe wogóle w najwyższej nawet normie stanowią w stosunku do dawnych niewielką przewyżkę, w wielu zaś razach są niższe.

Środki wzmacniające. Według doniesień *Peterb. wied.*, wkrótce rada państwa przystąpi do rozpatrzenia projektu, opracowanego przez komisyę gospodarczą przy ministeryum spraw wewnętrznych. Są to środki, zmierzające do zapobieżenia przesileniom rolniczym i wogóle do wzmocnienia rolnictwa. Oto ich szereg: 1) zorganizować regularny kredyt leśny na zasadach wzajemności; 2) starać się o ulepszenie ras bydła; 3) urządzić państwowe ubezpieczenie zasiewów i bydła; 4) dopomagać do rozwoju gospodarstwa intensywnego u włościan i drobnych właścicieli ziemskich; 5) popierać zaprowadzanie specyalnej kultury; 6) starać się o rozwój gospodarstwa pastwiskowego, w celu powiększania stopniowego hodowli bydła; 7) w możliwie najkrótszym czasie przeprowadzić reformę systemu podatkowego; 8) dawać inicyatywę do zakładania stowarzyszeń i spółek rolniczych; 9) wszelkimi sposobami popierać wywóz przerobionych produktów rolnych.

Z rynku.

Zboże. Do *Allgem. Reichscor.* piszą z Petersburga, że komitet giełdowy w Mikołajowie zwrócił się telegraficznie do wszystkich komitetów giełdowych na południu państwa z propozycyą wspólnego starania się w ministeryum skarbu o dozwolenie wywozu za granicę zapasów zboża z południowych portów Cesarstwa. Komitet mikołajowski radzi jednocześnie (dla zapewnienia zboża na potrzeby krajowe), aby taryfy kolejowe dla tego rodzaju ładunku, idącego do portów, podnieść do stawki $^1/_{24}$ kop. od puda i wiorsty, zniżając natomiast taryfy od zboża z portów w kierunku miejscowości dotkniętych nieurodzajem, aż do chwili nowych zbiorów, na $^1/_{150}$ do $^1/_{200}$ kop. od puda i wiorsty. Środki te, zdaniem kupiectwa, uniemożliwią zagranicy współzawodnictwo i przy pierwszem zapotrzebowaniu zwrócą zapasy do gub. wewnętrznych. Zakupy zboża dla prowincyj dotkniętych nieurodzajem obecnie już przerwano, a w portach nie można znaleźć nabywców. Zapasy w Mikołajowie wynoszą: 960,000 pud. pszenicy ozimej, 191,800 pud. girki, 1,129,000 pud. jęczmienia, 10,000 pud. żyta i 25,000 pud. owsa, razem 4,043,000 pudów zboża. Odeski komitet giełdowy w sprawie tej odbył już narady.

Targi. Na wszystkich targach warszawskich od niedzieli panuje wielkie ożywienie skutkiem zakupów przedświątecznych, czynionych przez chrześcian i żydów. Mąka pszenna używana do ciast, w tym roku droższa nieco, niż w poprzednim: za funt 7—10 kop., masło solone funt 30—35 kop., bez soli 30—40 kop. Ceny zboża w ostatnich dniach wynosiły: pszenica 108—116 k. za pud, żyto 107—115, jęczmień 78—104, owies 75—100, kasza jaglana 125—145, kasza gryczana 165—175, gryka 110—113, groch 115—130, kukurydza 66—70 kop. za pud.

Okowita. Na rynku hamburskim ciągle panuje słabe ożywienie przy cenach niskich. U nas znaczne zapasy towaru nie pozwalają na wzrost cen, przeciwnie — nawet jest spodziewana dalsza zniżka. Za wiadro 100-stopniowe w sprzedaży hurtownej płacono brutto 10,87.

Rynek pieniężny. Berlin 12 kwietnia. Ruble w gotówce 206,20, na dostawę 206,60.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Władza wyższa pozwoliła żydowskiemu Towarzystwu subjektów handlowych w Warszawie urządzić warsztaty stolarskie, tokarskie, ślusarskie i kowalskie.

— Zarząd Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych (chrześcian) przeznaczył 200 rubli na zapomogi dla członków potrzebujących kuracyi w miejscach leczniczych.

— Istniejące w Warszawie od lat kilkunastu Towarzystwo śpiewackie — „Harmonia“ zostało w tych dniach rozwiązane.

— Z rozpoczęciem wypuszczania inwentarza na paszę komisya do spraw włościańskich ułożyła taksę wynagrodzenia za szkody, zrządzone w polu w obrębie gub. warszawskiej. Kara ma wynosić: od każdego konia i sztuki bydła rogatego 50 kop., trzody chlewnej 60 kop., kozy, owcy, źrebaka i cielęcia 25 kop., od każdej sztuki drobiu 5 kop. W porze wykłoszenia się zboża kara wzrasta o 50%.

— Właścicielom lombardów prywatnych, w Warszawie wzbroniono pobieranie dodatkowej opłaty niby na koszt zawiadamiania o sprzedaży fantów niewykupionych lub nieopłaconych. Natomiast władza zobowiązała ich, aby na swój koszt w ogłoszeniach o licytacyi podawali numery zastawów przeznaczonych na sprzedaż. Dla większego rygoru p. oberpolicmajster polecił urzędnikom delegowanym podczas licytacyi wykreślać z listy wszystkie przedmioty przeznaczone na sprzedaż publiczną, o których wymaganego ogłoszenia nie zrobiono.

— Dla niesienia pomocy powodzianom sandomierskim powstał komitet urzędowy, który ocenia szkody tudzież przyjmuje wszelkie datki w gotowiźnie i naturze.

— Nowy zarząd straży ogniowej ochotniczej w Piotrkowie zatwierdzono.

— Z Taganrogu donoszą, iż kupiec Amir, oskarżony o domieszanie gorczycy, ziemi itd. do żyta, sprzedanego agentowi ziemstwa tambowskiego, został skazany na miesiąc aresztu.

— Według ogłoszonej statystyki, w r. 1891 zmarło we Francyi z głodu 97,000 ludzi, do domu obłąkanych oddano 71,000 (?), zbrodni sądzono 247,000.

Szkoły. Nowe przepisy o egzaminach w gimnazyach zostaną w tym roku wprowadzone: ustne w połączeniu z piśmiennymi jedynie w klasach: IV, VII VIII-ej. w innych — tylko ustne.

— We Lwowie na posiedzeniu sejmu uchwalono projekt polepszenia bytu nauczycieli ludowych w Galicyi kosztem 200,000 złr. rocznie. Profesor Antoniewicz wyraził życzenie, aby rada szkolna nie stawiała

przeszkód nauczycielom w zajmowaniu się gospodarstwem rolnem. Hr. Wojciech Dzieduszycki zbijając zarzuty, czynione nauczycielom, iż odstręczają lud od wsi i roli, twierdził że oni temu nie winni, gdyż się wychowują i kształcą w mieście. Gdyby zaprowadzono seminaryum na wsi z internatem, wówczas dopiero, według życzenia hrabiego, możnaby uzyskać zastęp prawdziwych nauczycieli wiejskich w siermięgach. Mówca krytykował budowę gmachów szkolnych po wsiach, ubolewając mocno, iż nie są one podobne do chat wiejskich (!). Bobrzyński podał szczegóły okropnej nędzy budynków szkolnych, której zwalczyć niepodobna drobnemi zapomogami na budowę nowych szkół. Rutowski wyraził obawę, że reforma administracyjna Bobrzyńskiego podkopie przyszłość szkolnictwa w Galicyi. „Nauczycielom wiejskim nie można zamykać perspektywy awansu do miast. Niebezpieczna ta reforma stoi prawdopodobnie w związku z prądami uznawanymi przez pewne stronnictwo w sejmie co do oddania szkół wiejskich w ręce bractwa zakonnego, poczętego we Francyi (*frères de la doctrine chretienne*) których tam przezwano braćmi głuptasami (*frères ignorantes*)."

— P. Michalina Merser otrzymała pozwolenie na otwarcie w Warszawie zakładu nauki rzemiosł dla kobiet (krój, szycie sukien, bielizny, roboty ręczne itd.)."

Sprawy kolejowe. Do zarządów kolejowych rozesłano okólnik p. ministra komunikacyi, nadający prawo inspektorom rządowym pociągania do odpowiedzialności oficyalistów za wykroczenia służbowe. Inspektorowie mogą według własnego uznania wyznaczać kary administracyjne, lub pociągać winnych do odpowiedzialności sądowej: *Now. Wr.* zapewnia, że ministeryum opracowało projekt zupełnego zreformowania inspekcyi rządowej na kolejach prywatnych. Pomiędzy innemi prawa starszych inspektorów rządowych mają być znacznie rozszerzone.

— Od 28 kwietnia do 13 października na przejazd od Łodzi i Koluszek do stacyi Andrzejów i odwrotnie dla wszystkich trzech klas wydawane będą bilety powrotne o 50% tańsze.

— Towarzystwom kolejowym: Kursko-Kijowskiemu i Fastowskiemu, przyznano prawo udzielania zaliczeń na transporty zbożowe i w tym celu otworzono owym drogom w kijowskim oddziale Banku państwa kredyt na rs. 500,000.

— Przy ministeryum skarbu utworzono komisyę dla rozstrzygnięcia sprawy biletów bezpłatnych na kolejach. Większość członków oświadczyła się za stosowaniem wogóle biletów bezpłatnych, nawet dla urzędników kolejowych. Dla tych zresztą ostatnich mają być robione wyjątki w razach nadzwyczajnych (*Kur. warsz.*).

— Przepisy o wydawaniu odszkodowań osobom, które ucierpiały wskutek katastrof kolejowych, postanowiono uzupełnić w ten sposób, iż wszelkie sumy wydawane poszkodowanym powinny być wypłacane w całości bez żadnych strąceń. Odszkodowania prywatne, wypłacane przed wydaniem wyroku, nie mogą być uwzględniane.

— Ministeryum komunikacyi zwróciło uwagę na nieporządne umieszczanie podróżnych w wagonach. Zalecono nadal ściślejszy pod tym względem rygor. W razie gdy pociąg jest przepełniony, służba kolejowa powinna zawiadamiać najbliższą stacyę o ilości pozostałych jeszcze miejsc, według której ograniczona tylko liczba biletów może być sprzedana na stacyi następnej. Szkoda, iż zamiast takiego „udogodnienia" dla pasażerów nie zalecono trzymania wagonów zapasowych na tych stacyach, gdzie może być znaczny napływ podróżnych.

— Kolej żelazna w Kongo posiada już 8 wiorst gotowego toru, czyli $^1/_5$ całej linii. Przy robotach ziemnych pracuje 2,750 krajowców pod kierownictwem inżenierów belgijskich.

Wystawy i Zjazdy. R. 1893 ruskie cesarskie Towarzystwo ogrodnicze urządza międzynarodową wystawę ogrodnictwa i sadownictwa.

— Ministeryum skarbu otrzymało z Japonii propozycyę urządzenia na główniejszych rynkach japońskich (w Tokio i Osaka) stałych wystaw produktów ruskich.

— Pp. Leopold Janikowski i Szczęsny Jastrzębowski otrzymali pozwolenie władzy na otwarcie w Warszawie stałej wystawy etnograficznej. Obejmie ona: 5,000 okazów, zebranych przez pana Janikowskiego w dwukrotnej podróży po Afryce, przedmioty z Muzeum spółki ogrodu zoologicznego, wreszcie zbiór jaj „pisanek" i „kraszanek" (4,000 sztuk).

— W przewozie z Petersburga i odwrotnie wystawców i okazów do Chicago stosowane będą ulgi taryfowe na kolejach: Terespolskiej, Siedlecko-Małkińskiej i Brzesko-Chełmskiej.

— W Petersburgu odbywa się obecnie zjazd ruskich hodowców ptactwa domowego.

Zdrowie publiczne. Przy wydziale weterynaryjnym departamentu lekarskiego powstała komisya zajmująca się sprawą wynalezienia środków przeciw szerzeniu się zarazy za pośrednictwem produktów zwierzęcych.

— Nowy szpital żydowski w Warszawie pomieści 400 chorych obojga płci. Oprócz odziału dla chorób ogólnych posiadać będzie oddzielne: dla chorych piersiowych i zaraźliwych, syfilitycznych i skórnych, wreszcie większy pawilon chirurgiczny i ginekologiczny tudzież oddzielny zakład dla obłąkanych.

Wypadki. W dn. 26 marca pod Olitą na Niemnie olbrzymia kra lodu uderzyła o prom, na którym się znajdowało 27 robotników, pracujących przy budowie mostu. Skutkiem pęknięcia liny prom został porwany prądem; sześciu ludzi przerażonych rzuciło się do wody w nadziei, iż dopłyną do brzegu, wszyscy jednak potonęli; 21 zdołało się ocalić.

— Z dokładniejszych opisów wypadku w Petersburgu dowiadujemy się, iż w zniszczonej suszarni było 7 robotników; wszyscy zostali rozszarpani w kawałki. Ciężko poranionych jest pięciu, do opatrunku stawiło się 22 ludzi. Wybuch zdarzył się podczas wsypywania wilgotnej piroksyliny na siatkę. Suszarnia była położona zdala od fabryki prochu, skutkiem czego ta ostatnia nie wiele ucierpiała; więcej jest uszkodzonych kilka budynków, stojących bliżej suszarni. Ilość wybuchłego materyału wynosiła około 400 pudów.

Bibliografia. Autor „Księżniczki," *Wszechmocni*, kartka z kroniki miasta powiatowego, str. 453, Petersburg.

— W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, przekład W. Rosickiej (Biblioteczka powszechna), Łódź, L. Fischer.

— K. Rejan, Tymko *Medier*, powieść współczesna, str. 406, Warszawa, Paprocki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Medykowi. Najlepiej objaśni Pana redakcya *Gazety świątecznej*, która łącznie z *Głosem* przed paru laty sprawą tą się zajmowała.

Prenumeratorce. Obietnice świadczyły tylko o naszych chęciach, ale nie o możliwości ich spełnienia. Czy pani sądzi, że to tak łatwo nawet teoretyzować w tej sprawie?

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 2 Апрѣля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.